
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatępił śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Maria Sadłowska – *Kazachstan, mama i ja*

1. Wołowe koło Lwowa

Ojciec mój Józef Franczuk urodził się 16 kwietnia 1899 r. w Milatyczach koło Lwowa. Jako młody chłopiec wstąpił do Polskiej Armii i brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po jej zakończeniu służył jako policjant we Lwowie, a po ślubie z moją mamą Anielą w 1931 r., zamieszkali w niewielkiej miejscowości Wołowe, które do 1939 roku należało do Polski. Mama była nauczycielką, dlatego mieszkaliśmy w budynku szkolnym. W tym czasie, gdy rodzice pracowali opiekowała się mną niania Ludwinia. Mama bardzo długo źle się czuła po urodzeniu braciszka, przez długi okres czasu dochodziła do zdrowia, ale mimo to, cały czas aktywnie pracowała. W tej sytuacji opiekę nad braciszkiem przez pewien czas sprawowali dziadkowie ze strony mamy.

Ojciec we wsi Dawidów niedaleko Lwowa kupił dwa lub trzy hektary ziemi i w czasie wolnym od służby jeździł tam rowerem na budowę. Najpierw wybudował parterowy domek z dwoma pokojami i kuchnią. Zamieszkała w nim babcia (ze strony taty) i wraz ze służbą doglądała budowy. Budynek ten później miał służyć za magazyn dla jabłek, bo ojciec założył duży sad. Już w sierpniu 1939 r. dom był gotowa do zamieszkania, niestety wybuch wojny uniemożliwił nam przeprowadzkę. Działania wojenne nie zniszczyły zabudowań i stoją tam do dzisiaj a w części z nich znajduje się ośrodek zdrowia. Są nieco przebudo-

wane, ale cieszę się, że dzieło rąk mojego ojca, jego pomysły i rozwiązania żyją w tym obiekcie i służą ludziom.

Z wczesnego dzieciństwa niewiele zachowało się w mojej pamięci. Są to raczej krótkie epizody. Ojca w domu prawie nie bywało, ale pamiętam, że w stołowym pokoju w szufladzie trzymał dla mnie czekoladki. Pamiętam także z nim zabawę choinkową przygotowaną dla dzieci policjantów i jakąś uroczystość w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” we Lwowie. Z babcią kojarzy mi się scena, kiedy to postawiła mnie na taborecie i włożyła na moją szyję sznury korale składające się z kilku sznurów. Wtedy sięgały mi aż do kolan. Powiedziała, że dostała je od swojej mamy, a ona dostała od swojej mamy i teraz otrzymuję je ja, bo jestem najstarszą wnuczką. Była to bardzo cenna darowizna, bo wtedy za te korale można było kupić dwie krowy. Nie znam dalszych ich losów, bo wraz z innymi kosztownościami zostały na czas wojny przekazane zaprzyjaźnionej osobie, której nie udało się odnaleźć po powrocie do Polski. A osobą tą była panna Lesia. Nie wiem jak to było zorganizowane ale przyjeżdżała ona na wieś w czasie wakacji i dla dzieci z okolicznych wsi organizowała półkolonie podczas których odbywały się zajęcia edukacyjne, zabawy ruchowe, festyny. Zajmowała się nimi tylko przez dzień bo na kolację dzieci wracały do domów.

Do klasy I poszłam jako sześciolatka i ukończyłam ją w czerwcu 1939 roku. Pod koniec sierpnia otrzymałam od rodziców nowy tornister, a ponieważ bardzo mi się podobał i bardzo chciałam z niego korzystać, z niecierpliwością oczekiwałam na rozpoczęcie roku szkolnego. Ale pierwszego września tuż po przebudzeniu, emocje związane ze szkołą zastąpione zostały wspólną modlitwą za polskich żołnierzy walczących na Westerplatte. Nie wyobrażałam sobie wojny, domyślałam się że jest to straszna rzecz, i przy odmawianiu pacierza gorliwie modliłam się, aby ci żołnierze zwyciężyli. Gdy mama zaczęła się modlić za żołnierzy, którzy zginęli na Westerplatte i bardzo przy tym płakała zrozumiałam, że dorośli nie są wszechmocni. Do tego momentu uważałam, że jeśli coś mi się nie udaje to mama, tata lub niania rozwiążą mój kłopot. Tymczasem widziałam, że mama płacze, czyli jest bezradna.

Z tamtym okresem kojarzy mi się także dźwięk samolotów, które z bombami leciały na Lwów i słupy ognia nad miastem widoczne z okolicznych wzniesień. Maszerujące oddziały wojska polskiego miejscowa ludność starała się nakarmić. Nie zawsze były ku temu sprzyjające warunki, pamiętam, że do jednego z oficerów, który zamiast czapki na głowie miał zakrwawiony bandaż mama zwróciła się z informacją, że ma dla nich jedzenie, ale ponieważ nie mieli czasu na zatrzymanie się, zgodził się na tzw. rozluźnienie szeregów, a my w tym czasie z koszyczków lub bezpośrednio z fartuszków rozdawaliśmy żołnierzom jabłka.

Gdy Armia Czerwona wkroczyła na terytorium Polski część oddziałów wojskowych i policyjnych przemieszczających się ku granicy z Rumunią musiała zawrócić, bo droga ich ewakuacji została odcięta. Ojciec i jego dwaj koledzy wrócili do domów. 4 listopada 1939 r. ojciec wyszedł do Bóbrki i już nie powrócił. Przez kilka dni pozostawał w niewielkim więzieniu, a właściwie w pomieszczeniu, które wcześniej służyło jako areszt policyjny. Nie wiem przez kogo mama otrzymała wiadomość od taty, a także pierścionek zaręczynowy, obrączkę i zegarek. Ponieważ strażnicy więzienni nie przygotowywali

posiłków, rodziny aresztantów zaopatrywały ich w żywność. Miało to dobre strony, bo tą drogą przekazywano informacje. I myślę, że w taki sposób dowiedzieliśmy się o możliwości zobaczenia się. Zaprzyjaźniona rodzina wpuściła nas na balkon swojego domu, z którego blisko było widać więzienie. Jego okna były wąskie, ale bardzo wysokie i zakratowane prętami. Ojciec podciągnął się na rękach, wiadomo, że nie mógł nic mówić, patrzył tylko na nas, a my na niego. Matka zapłakana mówiła do nas zapamiętajcie, zapamiętajcie ojca. Chyba coś przeczuwała. Braciszek miał 3 lata i nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Nigdy więcej nie zobaczyliśmy taty. Ja miałam 7 lat i doskonale pamiętam widok ojca uwieszonego na kratkach celi.

Mama nadal pracowała w szkole. Zbliżała się rocznica rewolucji październikowej. U zaprzyjaźnionego Żyda kupiła cukierki na które otrzymała pieniądze od władz szkolnych, ale dzieci nie chciały ani cukierków, które były poukładane pod portretem Stalina, ani recytować wierszyków. Sabotowały występy. Mama uprosiła dziewczynkę, aby wyrecytowała wierszyk – Julciu, posłuchaj, mego męża zabrali, w domu została Rysia i Julek, proszę nie rób mi kłopotów, ja cię proszę, powiedz ten wierszyk. Zgodnie z planem 7 listopada odbyła się akademie, Julcia deklamowała wierszyk, ale im dłużej go mówiła tym obfitsze łzy spływały po jej policzkach.

Po kilku dniach od naszego spotkania ojciec został przewieziony do prawdziwego więzienia NKWD we Lwowie, na Brygidki. Ile w nim przebywał nie wiemy, bo raz przyjmowano paczki, innym razem nie. Mamy pokwitowanie, że otrzymał 70 rubli. Ale z pewnością ojca tam już nie było kiedy nocą, 13 kwietnia 1940 r. po nas przyszli.

2. Deportacja

Obudził nas łomot do drzwi, weszło kilku żołnierzy sowieckich z karabinami na których osadzone były bagnety oraz przedstawiciel wsi. Z tamtego zamieszania utrwaliły się w mojej pamięci wydawane rozkazy – zbierać się, zbierać, wszyscy jedziecie. Mama nie płakała, była zdenerwowana, ręce się jej trzęsły, ale nie płakała. Ubrała nas w grube płaszczyki, bo, mimo że to był kwiecień, ziemia pokryta była śniegiem. Zawieziono nas saniami na miejsce zbiórki. Znajdowało się ono między dworcami. Było to celowe działanie władz sowieckich, bo chcieli, aby ludzie, którzy nie byli przeznaczeni do deportacji nic nie widzieli i nie pomagali. Na miejscu zastaliśmy płaczące kobiety, dzieci i wrzeszczących enkawudzistów. Jakoś nas wreszcie załadowano do wagonów, zaryglowano drzwi i ruszyliśmy. We Lwowie doładowano resztę ludzi i pojechaliśmy w stronę daleką nie wiedząc dokąd jedziemy.

Szczególnie wryło się w moją pamięć ogromne pragnienie, które towarzyszyło mi cały czas podczas pobytu w pociągu. Bardzo chciałam pić, braciszek także. Ciągłe płakał i prosił pić, pić. Ja nie prosiłam, bo wiedziałam, że nie ma, co pić. Dostawaliśmy raz na 2 dni, dwa wiadra wody, a ludzi było mnóstwo, dlatego wody nie wystarczało dla wszystkich. Nie tyle odczuwałam brak jedzenia jak wody. Jak przez mgłę pamiętam jakąś kaszę z oliwą smakującą jak pokost. Z domu mama wzięła wodę w butelce, nie wyrzuciła butelki i dzięki temu gdy udało się ją napełnić co jakiś czas po łyżeczce dawała nam pić. Pamiętam, że ciągle patrzyłam na mamy ręce, kiedy sięgnie i te dwie łyżeczki wody wpadną do mojej buzi. Do dziś dnia mam uraz, zawsze mam w domu

wodę chociaż wiem, że nie jest mi ona potrzebna, ale nie zasnę bez pewności, że zapas znajduje się w kuchni. Nie wiedziałam, że takie przeżycia tak głęboko zapisują się w świadomości i rzutują na całe życie.

Gdy pakowaliśmy się, nasza gospośnia wrzuciła na sanie worek z chlebem, w jednym z bochenków ukryła nóż. Tym nożem między deskami wydrążono dziurkę i dorośli przez nią patrzyli, bo do granicy z Polską okienka znajdujące się tuż pod dachem były na czarno zakryte i zadrutowane. Gdy te druty zdjęto, to w wagonie zrobiło się jaśniej i lżej było oddychać.

Mimo wyjątkowo podłego traktowania nas przez strażników, doświadczaliśmy dobroci ze strony zwykłych, rosyjskich ludzi. Gdy była możliwość, to po cichu podchodzili do wagonów i pytali jest „rebionok”, a potem na sznurku podawali np. pół litra mleka. Tak samo działało się, gdy nasze matki wyrzucały z wagonów karteczki z informacją o kierunku transportu i prośbą, aby je wysłać. Po latach okazało się, że dużo z nich doszło. Były to takie ludzkie odruchy, o których nie można zapomnieć w kontekście krzywdy wyrządzonej przez władze sowieckie i funkcjonariuszy NKWD.

Wagon zabudowany był dwoma rzędami prycz. Pod nimi znajdowały się bagaże, pakunki i różnego rodzaju tobołki. Przez cały czas siedzieliśmy na górnej pryczy, na dół nie schodziliśmy. Chyba pośrodku wagonu, znajdowała się toaleta, czyli dziura w podłodze. Gdy byliśmy już na stronie rosyjskiej, to pociąg się zatrzymywał między stacjami, otwierano drzwi i mogliśmy wychodzić i załatwiać się.

Z naszego transportu udało się uciec młodej dziewczynie, niestety enkawudziści ją złapali. Nie pamiętam czy był to wieczór czy noc, bo już zasypiałam, gdy mama mnie zbudziła powiedziała, posłuchaj i zapamiętaj. Było cicho, prowadzili ją wzdłuż wagonów, te kroki wydawały mi się takie głośne, ciężkie, głucho dudniące, a ona krzyczała mamó, nie płacz cud nad Wisłą był i będzie. Później rozległy się strzały, nie wiemy, czy one były nam na postrach, aby nikt nie uciekał czy naprawdę ją zastrzelili. Nikt tego nie wiedział, ale ludzie, którzy się obudzili zaczęli się modlić i śpiewać „Pod twoją obronę” i „Z dymem pożarów”.

O tym jak traktowali nas nadzorcy NKWD świadczy jedna z zapamiętanych sytuacji. Kobieta w zaawansowanej ciąży zaczęła mieć bóle, mama zaczęła krzyczeć dajcie wody, bo kobieta rodzi i umrze, a oni na to niech umiera, pochowamy ją. Jakoś szczęśliwie bóle ustąpiły i już w kołchozie chłopiec urodził się zdrowy.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Dżurunie, niedaleko Aktubińska. Kazano nam wysiadać i zabrać ze sobą wszystkie rzeczy. Nikt nie wiedział co się dzieje, co mamy dalej robić. Pamiętam, że tą jedną noc siedzieliśmy w okolicach stacji na tych naszych tłumokach, trochę nam było zimno, bo to były chłodne, majowe noce. Rano, jak się później okazało, z różnych kołchozów przyjechali przedstawiciele, jakby kupcy po niewolników, bo każdy chciał zabrać ze sobą ludzi do roboty.

W naszym transporcie były akurat same kobiety i dzieci. W poprzednim jak i późniejszych transportach byli mężczyźni, dlatego, że deportowano Polaków całymi rodzinami. Transport z 13.04.1940 roku to rodziny mordowanych w tym czasie w Katyniu, Miednoje, Ostaszkowie, Bykowni oficerów, policjantów, żołnierzy. Ale o tym świat dowiedział się dużo później.

3. Kołchoz

Jakimś traktorem z przyczepą przywieziono nas do kołchozu Pachar, wieś Dmitrowka nr 8 rejon Dżuruński obwód Aktiubiński. Nie wiem ile osób przywieziono, w każdym bądź razie jak znalazłam listę ludzi, którzy byli kołchozie w 1941 r., a która zapewne sporządzona była na potrzeby rządu Sikorskiego, to znajdowało się na niej około 100 nazwisk. Były to osoby z dwóch transportów, czyli z lutego i kwietnia 1940 roku. Deportacja z 10 lutego objęła nawet te osoby, które przebywały w więzieniach. Zwalniano je, dołączano do rodzin i razem wywożono. W naszym transporcie jechały same kobiety; żony policjantów, wojskowych, leśniczych i nauczycielki – bo one także zaliczane były do wrogów. Według takiej hierarchii dla władzy radzieckiej większego wroga od mojej matki nie było, bo była nauczycielką a mąż nie tylko był policjantem, ale także żołnierzem Piłsudskiego walczącym w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku.

Po pierwszej nocy spędzonej w budynku szkolnym, mamy poszły szukać mieszkań, bo powiedziano im, że kołchoźnicy wypróżnili niektóre lepianki i muszą sobie same znaleźć lokum. Pouczono także, że jesteśmy specjalnymi przesiedleńcami i obowiązuje nas przede wszystkim obowiązek pracy i możemy się poruszać swobodnie tylko w promieniu 3 km. Kołchozy, w których rozmieszczono ludzi z naszego transportu oddalone były od siebie daleko, nie wiem jak to wygląda w kilometrach, ale miarą była odległość np. 3 dni jazdy wołami. Mieszkańcy byli dla nas życzliwi. Z opowiadań wiem, że gdy do sąsiedniego kołchozu dotarła grupa Polaków, których podobnie jak i nas pozostawiono bez żadnej pomocy i wystraszeni nie wiedzieli, co dalej ze sobą robić, zostali bardzo przyjaźnie powitani przez tubylców. Po krótkiej naradzie której przewodniczył najstarszy wiekiem Kirgiz lub Kazach kobiety z jurt zaczęły wnosić dzbanki z mlekiem i dawać je dzieciom.

Dom w którym zamieszkaliśmy, to lepianka wykonana z glinianych cegieł, których nie wypalało się w piecu tylko suszyło na słońcu. Dach wykonany był z krokwi, które jednocześnie były sufitem. Sień dzieliła lepiankę na dwie części, w jednej mieszkała właścicielka, a drugą zajęła mama z nami dwojgiem, pani Stasia z córeczką Basią i młoda żona oficera nazywana przez nas ciocią Emą. Zamieszkiwał a właściwie spał tylko zimą, bo całe lato pracował jako stróż w kołchozowym ogrodzie dziadek Basi. Jedyne mężczyzna, który znalazł się w całym transporcie. Ojciec pani Stasi, przyjechał do córki w odwiedzin. Nie był zakwalifikowany do wywiezienia, bo wcześniej zmuszony został do przyjęcia sowieckiego paszportu. Miał przy sobie ten paszport, ale żołnierze nie słuchali jego tłumaczeń, wzięli go na wszelki wypadek mówiąc, że zawsze może wrócić do Polski. Niestety nie wrócił, pozostał w kazachstańskiej ziemi.

Na drugi dzień po zajęciu lokum, a spaliśmy jeszcze na podłodze, bo nie było łóżek, mama zapytała gospodynię gdzie można kupić drzewo, bo przecież w okolicach Lwowa paliło się tylko drewnem. Na zadane pytanie usłyszała, „jakie drzewo?” „No a czym wy palicie w piecu? – Mama usłyszała wtedy po raz pierwszy obco brzmiące słowo „kiziak”. Wtedy to ona wyraziła zdumienie – a co to jest ten „kiziak”. Ponieważ rozmowa i tak niczego by nie wyjaśniła gospodyni zaferowała, że następnego dnia rano zagotuje nam czajnik wody abyśmy miały wrzątek na herbatę, a później pokaże jak się zbiera opał. Rzeczywi-

ście tak było, wszystkie zabrałyśmy worki. Dołączyła do nas pani Irma, młodziutka żona oficera, która później z ciotką Emą wstąpiła do Pomocniczej Służby Kobiet. Od naszej lepianki nie odeszłyśmy zbyt daleko, gdy gospodyni zatrzymała się i wskazując na zaschnięte odchody krowie powiedziała, że to jest właśnie „kiziak” i mamy go zbierać do worka, bo tym będziemy palić. Najbardziej tą pracą przerażona była Irma, która w białych rękawiczkach i z wielkim obrzydzeniem zmuszała się do podnoszenia tego łajna.

Nawiązując do tego opał wspomnę, że szczególnie trudno mieszkało się nam zimą. Gdy się paliło w naszej kuchni tym mało kalorycznym opałem, to ściany rozmarzały i woda ściekała, ale nocą ściany ponownie zamarzały. Wyglądało to może i bardzo malowniczo, bo mróz się pięknie skrzył, ale do snu musieliśmy się przykrywać wszystkim, co tylko było dostępne. Jednej nocy okazało się, że jakoś wysunęłam się spod tych okryć i przymarzłam do ściany. Nie wiem jak to było, bo jak się zbudziłam, to był jeden wielki ruch i krzyk. Pamiętam, że ciocia Ema złapała miednicę i boso wyskoczyła po śnieg. Pozostali coś krzyczeli do mnie, szarpali, nacierali śniegiem i ręcznikami, a ja tylko pragnęłam, aby dali mi święty spokój. Było mi ciepło, dobrze, a oni robili wszystko, aby przerwać mi ten błogi stan. Okazało się, że byłam niebezpiecznie wychłodzona i nie było to tak przyjemne jak mi się wydawało. Mogło się to zakończyć moją śmiercią.

W kołchozie znajdowali się ludzie różnych narodowości, najwięcej było Kazachów i Kirgizów, wielu Ukraińców i Rosjan. Duża grupa pracowników przeznaczona była do wypasania bydła i owiec, a po 1941 roku, do pracy pozostały nam głównie woły, osiołki i wielbłądy. Opiekę nad deportowanymi sprawował oficer NKWD, ale nie mieszkał z nami, przyjeżdżał tylko od czasu do czasu na kontrole. Nasz kołchoz oprócz hodowli zajmował się uprawą roślin, głównie pszenicy, prosa i niezbyt dużej ilości słonecznika. Na tak zwanych *basztanach*, czyli stepowych ogrodach uprawiano melony i kawony. Pola były pilnie strzeżone, najczęściej jakiś starszy człowiek jeździł na osiołku i odstraszał potencjalnych złodziei, do których najczęściej należały dzieci. Mnie także namawiano do kradzieży, ale jak powiedziałam, że mama nie pozwala mi kraść, bo to jest grzech to usłyszałam od nich: „*Ot durak, to padochniesz od gołoda*”. W trakcie naszego pobytu na terytorium ZSRR bywały dni, kiedy nie mieliśmy nic w ustach.

Dorośli pracowali zazwyczaj w dużych odległościach od kołchozu, my dzieci, nieco bliżej. Pracowały wszystkie dzieci, nie tylko zesłańców. Można było plewić pola i warzywniki, pilnować zwierząt. Musieliśmy również truć susły. Występujący na terenie Kazachstanu suseł długoogoniasty jest pospolitym gryzoniem i szkodnikiem pól uprawnych. Zjada dosłownie wszystkie ziarna zbóż a i nie omija warzyw. Proceder zabijania tych zwierząt był okropny, tym bardziej, że dla mnie jako dziecka te stworzenia były bardzo sympatyczne i miłutkie. Do dziś pamiętam, że rano trzeba było iść do kołchozu ze swoją butelką, do której nalewano ciemno brązowego płynu i bardzo szybko ją zamykano. Musieliśmy mieć także trochę przygotowanych gałązek na czubku których znajdowały się waciki wykonane z burej bawełny. Były to tzw. „szariki”. Chodziliśmy dwójkami, jedna osoba niosła butelkę i waciki a druga łopatę. Para zatrzymywała się nad norką, jedna osoba szybko wrzucała namoczony w płynie „szarik” a druga natychmiast zasypywała go ziemią. Należało to robić bardzo szybko i sprawnie, bo ciecz z butelki w kontakcie z powietrzem natychmiast zamieniała się w gaz,

który drażnił oczy i drogi oddechowe. Zastawiano na susły także łapki, bo z nich ściągano skórki na futra. Bardzo cieszyłam się gdy dorosłym susełkom udało się uciec. Pewnego dnia, gdy szłam z mamą w parze, z norki wyskoczył młody osobnik i zamiast uciekać siadł przy kopczyku, przecierał łapkami pyszczek i płakał. Musiało coś w tym być i to nie było moje przywidzenie, bo mama wzięła go i włożyła do kieszeni. Siedział tam i spał do wieczora. Wieczorem, gdy wróciliśmy do domu, mama ugotowała na kolację kaszę kukurydzianą, którą jeszcze ktoś z Polski przysłał, bo dopóki wojna z Niemcami nie wybuchła, to do czasu do czasu przychodziły od rodziny jakieś paczki z sucharami, mąką, czymś trwałym. I dopiero jak nastąpiła ciemna noc i Jurek spał to poszliśmy z mamą daleko za kołchoz i tam wypuściliśmy malucha. Odbywało się to w pełnej konspiracji, bo mama za swój czyn mogła zostać oskarżona o sabotaż i srogo ukarana.

Do moich dziecięcych obowiązków należało także zbieranie opału na zimowe dni, oraz opieka nad Jurkiem. Na zbieranie opału najczęściej wybierałam się z kolegą Jasiem, bo mieliśmy podobne obowiązki, ja opiekowałam się swoim braciszkiem, a on swoim. Najłatwiej nam było pracować, gdy braciszków nosiliśmy „na barana”, bo wtedy ręce były wolne i swobodnie mogliśmy do worków wrzucać „kiziak” oraz wyschnięte byliny, a maluchom nie groziło ukąszenie żmii. W końcu kwietnia na stepie pojawiały się łany tulipanów, kolorowych roślin i różnorodnych traw. Step wyglądał wtedy bardzo malowniczo. Jednak do końca czerwca wszystko już zazwyczaj było wypalone i właśnie te pozostałości zbierało się do palenia.

Pamiętam, że pewnego dnia, gdy byliśmy na podwórku, wozem drabiniastym przywieziono mamę z pola i starano się ją oprzeć o stojącą w pobliżu beczkę, ale mama strasznie jęcząc osunęła się na ziemię. Osoby, które ją przywiozły narobiły krzyku i do pomocy przybiegły dwie starszki. Gdy ułożyły mamę na łóżku, zawołały mnie, uklęknęły i zaczęły się modlić. Ale modliły się nie o uzdrowienie, ale o duszę mamy, za zmarłą mamę. Byłam przeświadczona, że mama żyje i nie mogłam tego słuchać, tym bardziej, że zawodziły jakimś wiejskim slangiem i w międzyczasie same tworzyły słowa modlitwy – Matko przenajświętsza przyjmij tę zmarłą kobietę do raj. Wybiegłam na zewnątrz i pamiętam, że biegałam w kółko, ale nie wiem, dlaczego, a w myślach prosiłam mamę: „mamusiu nie umieraj, mamusiu nie umieraj”, a z drugiej strony myślałam; „Boże, co ja zrobię z Jurkiem, co ja mu dam jeść, gdzie będziemy mieszkać, jeśli mamy nie będzie, co zrobię?” Prerażenie moje było ogromne, po jakimś czasie, nie wiem jak długo to trwało, obie kobiety wyszły i jedna z nich powiedziała do mnie – żyje. Strwożona weszłam do lepianki, mama leżała na łóżku, była taka blada, prawie niebieska, ale żyła. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu zrozumiałam, że mogłam mamę stracić. Tak bardzo się tym przeraziłam, że spokojna byłam tylko wówczas kiedy ją widziałam. Jeśli musiała iść do pracy gdzieś daleko lub gdy traciłam ją z oczu, stawałam się niespokojna, wpadałam w panikę i zaczynałam płakać. Nie dawałam sobie rady z tym uczuciem, które mnie dopadało i uniemożliwiała jakiegokolwiek funkcjonowanie. Znowu zadziałały te starsze panie. W dobrej wierze przekazały mi, że jak dotąd mama nie umarła, ale jeśli nadal będę tak płakać to mama niestety umrze, i to umrze przeze mnie. Byłam tymi słowami ogromnie przerażona, jak to możliwe, że przyczynię się do śmierci mamy? Jak zatrzymać łzy, jak opanować strach? Wiedziałam, że nie mogę płakać, ale nie mogłam się powstrzymać.

W tych momentach napadu panicznego strachu zapychałam sobie buzię rękawem wełnianego swetra albo gryzłam rękę. Trudno mi dziś oddać emocje z tamtego okresu, ale łatwo sobie wyobrazić rozterki i myśli małej dziewczynki, bo przecież pomimo tego, że byłam dziecina byłam jeszcze dzieckiem, które szybko musiało dorosnąć do obowiązków będących domeną ludzi dorosłych. Byłam bezradnym dzieckiem w obcym kraju z dala od bliskich, zdana na samą siebie. Latem raniuteńko mama szła na pole, a ja z Jurkiem zbierać „kiziak”. Pod wieczór gdy mama przychodziła do domu zmęczona to paliło się w piecu, coś tam mama robiła do jedzenia i padliśmy spać. Nie było czasu na okazywanie uczuć, pieszczot i przytulania, chociaż mama wykorzystywała każdą sytuację aby to robić oraz nas wspierać i uczyć. Czas spędzany z Jurkiem zacieśnił bardzo nasze siostrzano-braterskie więzy, lubił, gdy wspominałam rodzinny dom, opowiadałam bajki, do kanonu bajek zaliczałam też opowiadanie na jego prośbę jak wyglądają cukierki. Był ładnym, grzecznym i bardzo sympatycznym chłopcem. Bardzo często podczas kołchozowych spotkań z Rosjanami, na ich prośbę stawał na przyzbie śpiewał lub recytował różnego rodzaju piosenki i wierszyki. Ten, który zapamiętałam cieszył się wśród słuchaczy największą popularnością;

Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją
i ćwierkają bolszewikom, że się ich nie boją.
Tam żołnierze zawodowi tu małe dzieciaki
mają tylko do obrony ducha i kułaki.

I pokazywał słuchaczom małe piąsteczki. Mama zaś w tym czasie truchlała ze strachu, ale nie mogła nic zrobić. Przygodni słuchacze słysząc słowa bolszewik nie reagowali wrogo, bo uważali, że malec chwala bolszewików.

Gdy skończyły prace polowe, czyli pod koniec września lub października rozpoczęłam edukację w szkole. W swoim uczniowskim życiu ukończyłam klasę I polskiej szkoły podstawowej, klasę pierwszą ukraińskiej szkoły podstawowej a teraz nastał czas na naukę w klasie pierwszej rosyjskiej szkoły podstawowej. Szkoła podstawowa była do klasy czwartej, od piątej do siódmej niepełna szkoła średnia a po ukończeniu 10 klas uzyskiwało się wykształcenie średnie. Pamiętam, że siadałam do ławki razem z Jasiem. Niestety rozmawialiśmy między sobą po polsku i rosyjska nauczycielka strasznie nas skrzyczała i rozsaadziła. Siedziałam z Wanią, który wkrótce w dowód sympatii podarował mi medal. Jak się w domu okazało był to medal bezbożnika. Dzieci rosyjskie wychowywane były w duchu ateizmu. Jeden z moich kolegów Boria, tak mówił do mamy, ciocia Nela, bo tam wszystkie młode osoby to były ciocie lub wujkowie a starsi to *dieduszka* i *babuszka*, „Boga nie ma, ale jak ja go złapię, to tak go spiorę że się nie pozbiera”.

Ze szkoły pamiętam także inne przeżycie, pewnego dnia rano Wania powiedział do mnie, że mój ojciec był „*bandit*”. Nie zastanawiałam się wcale jak na to zareagować, bo rzuciłam się na niego jak mały kotek, złapałam za włosy, szarpałam i przez cały czas głośno płakałam. Jak nas rozdzieli to miałam pełną garść włosów. Jako osoba dorosła zrozumiałam, że nie chciał mi dokuczyć, powtórzył tylko to co usłyszał w domu, ale wtedy czułam się tak strasznie skrzywdzona, że było mi wszystko jedno, co dalej ze mną będzie. Gdy byłam w klasie drugiej mama zdecydowała, że wystarczy mi już tej rosyjskiej szkoły

i że dalszą moją nauką sama się zajmie. Było to tym bardziej uzasadnione, że mama dbała o naszą – polskich dzieci edukację, wieczorami szczególnie w okresie jesienno-zimowym siadaliśmy wokół mamy, która opowiadała nam baśnie i legendy np. o Lechu, Czechu i Rusie, o tym jak powstała Polska, jakie są zwyczaje i tradycje. Uczyła nas katechizmu na podstawie zabranej z Polski biblii. Wkrótce okazało się, że była nam ona bardzo przydatna.



I Komunia św. (w stroju krakowskim autorka)

Nie wiem, w jaki sposób mama dowiedziała się o tym, że biskup połowy Józef Gawlina, który przebywał w ZSRR w 1942 r. postarał się o rozlokowanie w większych miastach, w których skupiali się Polacy kilku księży, którzy objęli

opieką duszpasterską ludność cywilną. Udało się jej skontaktować z księdzem Janem Kapustą, salezjaninem, który po zwolnieniu z łagrów działalność duszpasterską prowadził w Kazachstanie i objeżdżał teren Dżurunu i Aktiubińska. Na przygotowanie nas do sakramentu pierwszej komunii świętej miała około 3 dni. Była nas szóstka, cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Msza święta odbyła się w jednej z lepianek specjalnie do tej uroczystości przygotowanej. Nasze mamy wraz z Ukrainkami, które czynnie włączyły się do pomocy wybieliły ściany i udekorowały izbę. Pamiętam, że byłam odświętnie ubrana w strój krakowski. Dlaczego w krakowski? – Podczas deportacji ludzie wkładali do bagażu różne rzeczy, jedną z takich był właśnie ten strój, moja koleżanka miała sukienkę robioną na drutach. Na pamiątkę sakramentu otrzymaliśmy krzyżyk i obrazek.

Mama opowiadała i uczyła nas także dużo o otaczającej nas rzeczywistości, jednego dnia zaprowadziła mnie na cmentarz Kirgizów i pokazała ich groby. Powiedziała, że ceremonie pogrzebowe w różnych religiach mają swoisty charakter. Ciało zmarłego Kirgiza owijało się w płótno i umieszczano w pozycji siedzącej twarzą skierowaną w kierunku Mekki. Wykopanej jamy w ziemi nie zasypywano lecz przykrywano deskami i zabezpieczano gliną. Zupełnie inaczej niż w naszej tradycji wyglądał pierwszy katolicki pogrzeb szesnastoletniego Polaka, który zgiął śmiercią tragiczną podczas prac polowych. Na cmentarz przyszli prawie wszyscy mieszkańcy kołchozu. Pochówek odbywał się bez księdza, Polacy śpiewali pieśni religijne, a prawosławni i grekokatolicy uczcili zmarłego według swojej tradycji przygotowując tzw. „koływo”, którym częstowano żałobników. Zazwyczaj przygotowywało się go z gotowanego ryżu, miodu i rodzynek. Ponieważ ryżu nie było, wykorzystano ziarno pszenicy i suszone owoce.

Na wiosnę 1942 r. otrzymałam od cioci Army dwie używane, ale bardzo ładne sukienki, które mama miała tak przerobić, aby na mnie pasowały. Sukienki cioci nie były już potrzebne, bo razem z innymi młodymi dziewczynami ruszyła w kierunku Buzułyku zasilić oddziały pestek. Pod koniec 1941 r. z inicjatywy gen. Władysława Andersa podczas tworzenia Polskich Sił Zbrojnych powołano Pomocniczą Służbę Kobiet (PeStKi), popularnie zwaną „pestki”. Ochotniczki pracowały nie tylko w szeregach wojska, ale także w szpitalach, kuchniach, w szkołach dla sierot, jako personel administracyjny. Irma zostawiła mamie siedem serwetek wykonanych ręcznie – 6 małych i jedną dużą, mówiąc „Wie pani, to nie jest duża wartość, ale dla mnie mają ogromną wartość sentymentalną i dlatego chciałabym aby pani przywiozła je do Polski”. I ja te serwetki przechowuję do dzisiaj, bo mama cały czas je pilnowała. Mimo poszukiwań, nie udało mi się znaleźć Army. Posiadam także zdjęcia 2 chłopców – synów nauczycielki, która zaginęła i nie wiadomo, co się z nią stało. Miała jechać do Aktiubińska, jeszcze mama pomogła jej wsiąść do pociągu i ślad po niej zaginął. Chłopcy byli w naszym domu dziećmi, poszukiwałam ich w Polsce, ale nigdy nie trafiłam na ich ślad.

Kazachstan jest ogromny, tam gdzie my byliśmy, w lecie bywało bardzo gorąco, dlatego w ciągu dnia pracy przewidziane były dwugodzinne przerwy. Do pracy w polu brygada jeździła wozem z plandeką, by przez okres upału móc schronić się w jej cieniu, bo inaczej można było dostać udaru. W zimie natomiast bywało strasznie zimno, występowały duże opady śniegu, często pojawiał się „buran” – czyli silny wiatr, taka śnieżna burza. Doskonale pamiętam pierwszy buran, bo strasznie wtedy wyło i śnieg w całości zasypał naszą lepiankę, a komin

znajdował się niżej niż pokrywa śniegowa. Gdy tunelem w śniegu do nas dotarto nie mogłam zrozumieć, że tak wysoko, gdzieś pod niebem kończy się śnieg.

Z okresem zimowym wiążą się także kłopoty z wodą do picia dla ludzi i zwierząt. Studnie były bardzo głębokie i jak ciągnięto wodę do góry, to z wiader woda się wychlapywała. Chlapała, chlapała i zamarzała. Po pewnym czasie otwór był już tak wąski, że wiadro się nie mieściło, woda w studni była a nie można jej było wydostać. Początkowo rozpuszczano śnieg i gorącą wodą polewano zamrożony otwór, a gdy nie dało się go poszerzyć to w wiadrze spuszczano chłopca, który obrąbywał lód. Nie było to jednak bezpieczne zajęcie, ale nigdy nie doszło do żadnej tragedii.

4. Dżurun

Po zawarciu układu Sikorski – Majski na uwolnienie mogły liczyć między innymi deportowane rodziny. Wiadomości jednak docierały z opóźnieniem i gdy tylko na jesieni 1942 roku okazało się, że mimo zerwania umowy możemy opuścić kołchoz wyjechałyśmy do Dżuruna. W kołchozie na lepsze życie się nie zapowiadało, a mama miała nadzieję, że do Polski będzie łatwiej wrócić z miasta. Dżurun, to było małe powiatowe miasteczko, składające się z lepianek – szpital to była lepianka, NKWD lepianka itd. Miasto podzielone było na dwie części, a to za sprawą przebiegających torów, po których kursowały prawie bez przerwy pociągi, jedno z bronią, inne z rannymi. Szczególnie dużo było pociągów sanitarnych.

Na początku po przyjeździe do Dżuruna pracowaliśmy z mamą w artelu „Drużba” to coś tak jakby spółdzielnia. Na front potrzeba było dostarczyć żołnierzom rosyjskim ubrania. Ja gręplowałam wełnę ręcznie, bo nikomu nie przyszło do głowy, że można wykorzystać maszyny, inne kobiety przędły, jeszcze inne dziergały skarpetki, rękawiczki, swetry itd. Mama miała przydział na chleb, co nie znaczyło że dostawała chleb. Dostawy nie były codzienne a jeśli w określonym czasie się go nie odebrało, to przydział przepadał. Rosjanki odpowiadały, „*piereżyła, eta charaszo*”. Trudność w zrealizowaniu kartek polegała także na tym, że można było go dostać tylko w budce na bazarze, który znajdował się po drugiej stronie miasta. Aby przedostać się na bazar należało pokonać chyba 9 torów, po których cały czas odbywał się ruch pociągów. Nauczyłam się obserwować parę wydobywającą się z lokomotywy i na tej podstawie rozpoznawałam, czy pociąg jeszcze stoi czy tylko czeka na znak do ruszenia i decydowałam czy zdążę razem z Jurkiem przejść pod wagonami.

Z okresu pracy w artelu pamiętam, moje pierwsze zetknięcie z realizmem wojny. Każdy z pracowników dostał po trzy płaszcze żołnierskie do uprania. Mama rozkładała je kolejno na podłodze i za pomocą rozsypywanej na szyniele kredy szorowałyśmy je i splukiwały wodą. Czynności te powtarzałyśmy wielokrotnie, aż do momentu, kiedy woda stała się w miarę czysta. Wykorzystywałyśmy zmieloną kredę, bo nie było mydła. Przy jednym z mundurów mama zwróciła moją uwagę na to, że pochodził on od rannego żołnierza, który otrzymał strzał z przodu ciała, bo w nim była tylko mała dziurka wlotowa, natomiast tył cały był sztywny od zaschniętej krwi.

Do moich obowiązków należało także przynoszenie wody, która z rzeki Ilek (prawy dopływ rzeki Ural) ciągnięta była do wieży ciśnień i dopiero z niej można było mieć wodę do picia.

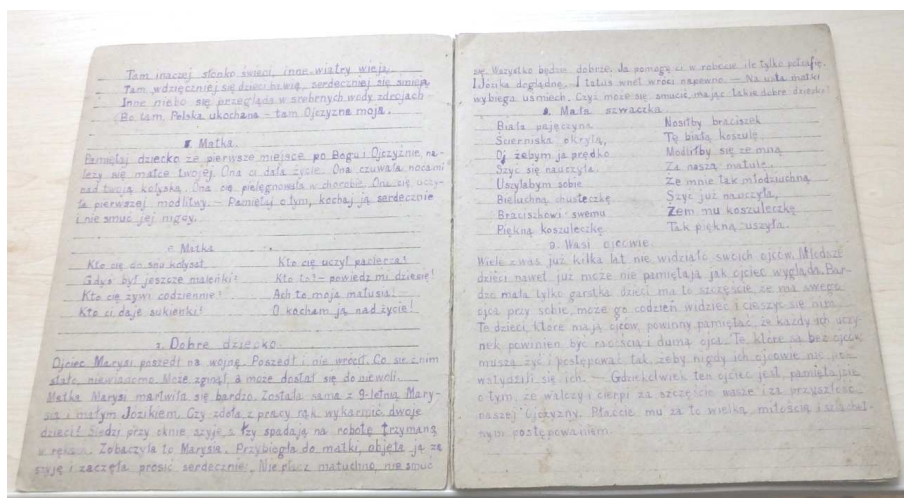
Cechą charakterystyczną kazachstańskiego klimatu były silne wiatry. Szczególnie groźne były te wiejące późnym latem, bo miały wtedy ogromną siłę. Jedna z takich trąb powietrznych rozniosła w drobny mak drewniany płot chroniący torowiska przed zasypywaniem przez śnieg. Wyrwane jak zapałki, elementy płotu rozrzucone były na dużej powierzchni miasta. Rosjanka, która w pobliżu nas mieszkała, powiedziała do mnie, biegnij, weź, trochę tych desek, będziesz miała czym palić. Poszłam i przyciągnęłam kilka. Wiedziałam, że te deski są państwowe, bałam się milicji, może nie tyle milicji jak NKWD, dlatego schowałam je do rozwalonej lepianki i tam za pomocą noża i kamienia odłupywałam po kawałku drewniane szczapki. Wydawać by się mogło, że rozpalanie ognia nie nastreczało kłopotów. Była to prawda tylko w takiej sytuacji, gdy w domu były zapałki. A niestety to była rzadkość. Zazwyczaj radziliśmy sobie za pomocą sąsiedzkiego wsparcia. Gdy widać było dym unoszący się z komina szło się do tego domu i prosiło gospodarzy o łyżkę ognia. Gdy pomoc sąsiedzka zawiodła, trzeba było samemu skrzesać ogień. Brało się kawałek metalu, kamyczek, szarik i tak długo uderzało kamyczkiem o metal, aż pojawiała się iskra. To było krzesiwo.

Wydawało mi się, że jakoś sobie radzimy w tych trudnych czasach i to tylko kwestia czasu, kiedy wrócimy do Polski. Ale kłopoty i nieszczęścia nie omijały nas i wciąż musiałam zdawać egzamin z życiowej zaradności. Drugi raz od czasu deportacji mama ciężko zachorowała, chyba na zapalenie stawów, bo była opuchnięta, miała gorączkę i leżała nieprzytomna. W domu nie było opału, zapałek i jedzenia, był tylko 7 letni brat i ja, Boże i co mam zrobić? Ktoś poradził mi, aby robić okłady. Pamiętam, że grzałam piasek i takie gorące woreczki przykładalam mamie na opuchnięte miejsca, a na serce zimny kompres. Kirgizka, która w pobliżu mieszkała dała mi jakieś zioła. Ale, aby mieć czym rozpałić w piecu, musiałam bardzo wcześnie wstać i biec na step gdzie zbierałam różne trawy na opał. Wracałam do domu, grzałam piasek i parzyłam ziółka. Musiałam także zatroszczyć się o jedzenie. Kolejny raz dokładnie przeszukałam walizkę, znalazłam w niej jakieś koraliki, używane wstążki, odprułam kilka guzików i poszłam na bazar. Za to wszystko dostałam szklankę kaszy jaglanej, którą wykorzystałam na przygotowanie dwóch posiłków.

Tak naprawdę głód zaczął nam doskwierać już pod koniec pobytu w kołchozie, ale nie było takich sytuacji abyśmy przez cały dzień nic nie jedli. Natomiast okres pobytu w Dżurunie to ciągłe poszukiwanie pożywienia i dwudniowe lub trzydniowe okresy zupełnego postu. Szczególnie dotkliwy był rok 1943 i to nie tylko dla nas zesłańców, ale także dla wszystkich mieszkańców. Nasza gospodyni, aby przeżyć z całą swoją rodziną wyjechała do kołchozu. Wszystko co tylko było możliwe wysyłano na front, a gdy zerwana została umowa Sikorski – Majski skończyły się dary rzeczowe. Jednego dnia mama przyprowadziła Rosjankę, która chciała kupić pierścionek. Był to pierścionek z brylantem. Gdy okazało się, że nie miał czerwonego oczka Rosjanka nie bardzo była zainteresowana jego zakupem, mama zaś była bardzo zdeterminowana zdobyciem czegokolwiek do jedzenia, bo już od trzech dni nic nie jedliśmy. W efekcie targu pierścionek z brylantem został wymieniony na 4 półlitrowe

garnuszki połamanego ryżu. Gdy mama wyjmowała z walizki pierścionek uwagę Rosjanki przykuła czerwona wstążka, z której jeszcze w Wołowym mama zawiązywała mi kokardę we włosach. I ta wstążka stała się kolejnym celem zakupu, ale w tej sytuacji mama nie określiła ceny, bo jak porównać pierścionek z brylantem do używanej wstążki. Rezulutnie zapytała Rosjankę – „A ile dacie?” Okazało się, że wstążka dla niej warta była pół garnuszka ryżu. Cóż więc można powiedzieć!

Z okresem głodu kojarzy mi się także kawior. Mama poprosiła znajomego, polskiego Żyda, który wyjeżdżał poza Dżurun w poszukiwaniu żywności, aby i dla nas zakupił cokolwiek do jedzenia. Dała mu 5 litrową bankę, mając nadzieję, że uda się kupić jakąś kaszę, makaron, mąkę w najgorszym przypadku jakieś suchary. Otrzymała zaś całe naczynie wypełnione rybą ikrą tzw. kawio-rem. Była to brudno granatowa galareta, w której znajdowały się pojedyncze jajeczka i kryształki soli. Do przygotowania kawioru pobraną ikrę soliło się, aby zabezpieczyć ją przed zepsuciem i zlepianiem się jajeczek. Ale wiadomo, głód zmuszał do kradzieży. Aby waga produktu się zgadzała, każdy kto ukradł kawior to dosypywał soli. Gdy już sól nie mogła się rozpuszczać, to pozostawała w postaci niezmięnionej czyli grubych kryształków. I taki kawior zjadaliśmy na śniadanie, obiad i kolację. Brało się łyżkę tej gorzkiej i słonej mazi i popijało garnuszkiem gorącej wody. Po 2 tygodniach takiego jedzenia do końca życia nie tknę tego rarytasu.



Książeczka napisana przez mamę – Anielę Franczuk i jeden z tekstów

Jurek jak tylko mógł też starał się nam pomóc. Pamiętam, że od kogoś dowiedział się, że na dworcu pękła cysterna i wycieka z niej ropa, którą można palić. Znalazł jakieś 2-3 puszki po wojskowych konserwach wyrzucanych z pociągu i po próbie palenia przeprowadzonej z mamą zaczął przynosić to paliwo i gromadził tuż przed lepianką w wykopanym dołku. Co prawda było ono mało kaloryczne, ale przez kilka dni mogliśmy odпочąć od zbierania *kiziaku*.

W Dżurunie zaczęła się masowa paszportyzacja Polaków, zaczęli nam na siłę przyznawać obywatelstwo radzieckie. Wybór był – albo paszport, albo wię-

zienie. Rozterek nie miały matki, które wiedziały, że jeśli nie podpiszą, to idą do więzienia, a dzieci zabiorą do sowieckiego domu dziecka.

Gdy powstał Związek Patriotów Polskich objął swoją opieką założony jeszcze za czasów Sikorskiego sierociniec, w którym mama zaczęła pracować. Polski dom dziecka składał się z niewielkiego pomieszczenia, w którym rozłożono jeden przy drugim 40 sienników. Nie było krzesła, stołu, nie było nic. Była to jednocześnie sypialnia, jadalnia i miejsce do nauki. Personel składał się z trzech osób; kucharki, pani Halinki Kępskiej, która starała się o żywność oraz mamy, która była nianią, wychowawczynią i nauczycielką. Pani Halinka wychodziła na cały dzień w poszukiwaniu jedzenia i dzięki jej zaradności można było dać dzieciom po kawałku chleba. Niestety mimo tych starań stale odczuwaliśmy ogromny głód. Gdy dzieci zaczęły jeść jakąś trawę, zaniepokojone panie zwróciły się do lekarza o opinię. Okazało się że jest to dziki czosnek i że tak naprawdę w sytuacji małej ilości pożywienia powinno się go jeść, bo dostarczał cennych witamin.

W sierocińcu był jeszcze osiołek, dzięki któremu woziło się ciężkie rzeczy np. opał, chleb, od czasu do czasu jakąś kaszę. Wykorzystywany był nie tylko do transportu artykułów żywnościowych, ale często przewoził zwłoki osób, które zmarły. Nie było trumien, a umarłego trzeba było zaszyć w jakimś worku i dopiero można było go pochować.

Mama organizowała zajęcia, uczyła polskich liter, pisowni, czytania i rachunków. Ręcznie pisała podręczniki, w których przekazywała najważniejsze treści; dlaczego trzeba się uczyć, kim jesteśmy, uczyła miłości do rodziców, do Boga i ojczyzny.

Ojczyzna
 Czemuś od nas tak daleko Polska matko nasza?
 Czemu nas po obcych ziemiach zły wiatr porozpraszał?
 Kiedy Bóg się ulituje nad nami biednymi
 I pozwoli nam powrócić do rodzinnej ziemi?
 Tam inaczej słońko świeci, inne wiatry wieją.
 Tam wdzięczniej dzieci się bawią, serdeczniej się śmieją,
 Inne niebo się przegląda w srebrnych wody zdrojach
 Bo tam polska ukochana – tam Ojczyzna moja.

O tym, jaki był poziom nauczania w polskiej szkole niech zaświadczy zachowany w mamy dokumentach:

PLAN NAUCZANIA W SIEROCIŃCU POLSKIM W DŻURUNIE

– na miesiąc marzec

Język polski

Klasa I

Czytanie przez nauczyciela bajki o Czerwonym Kapturku i o Jasiu i Małgosi. Rozmowy z dziećmi na tematy z życia codziennego i rozmówki okolicznościowe. Rozkładanie zadania na wyrazy i wyrazów na głoski. Pisanie liter: d, m, n, k, t, l, b, s, r, c, p, A, O, g. Wyodrębnianie ich w wyrazach i kreślenie.

Klasa II

Głośne poprawne czytanie przez dzieci. Opracowanie czytanek; Dobre dziecko, Mała szwaczka, Wasi ojcowie, Rozmowa z ojcem. Rozpoznawanie wielogłoskowości wyrazów. Wyszukiwanie i pisanie wyrazów na oznaczone głoski (litery). Pisanie ze słuchu.

Klasa III

Poprawne czytanie ze zwróceniem uwagi na interpunkcję. Opracowanie czytanek; Kogut Weroniki, Skrzat w komorze, Moja chata, Stara prządka. Miękczenie przez i i za pomocą kreski. O zmieniające się na ó. Ćwiczenie i pisanie ze słuchu.

Klasa IV

Głośne, wzorowe czytanie dłuższych opowiadań. Próby streszczenia przerebionych czytanek. Samodzielne opowiadanie. Pisanie krótkich opowiadań na tle przeżyć dzieci. Ćwiczenia w użyciu ó i u, ż i rz. Pisanie końcówek; p, b, f, w. Rozwijanie zdań prostych. Określanie podmiotu i orzeczenia. Prawidłowa budowa zdań.

Rachunki**Klasa I**

Dodawanie i odejmowanie w zakresie 10. Rozwiązywanie zdań złożonych. Zadania mieszane. Ilość dni w tygodniu i ich nazwy. Przekroczenie 10. Numeracja liczb w zakresie 20. Dodawanie i odejmowanie w zakresie 20 z specjalnym uwzględnieniem progu dziesiętkowego. Ilość miesięcy w roku i ich nazwy.

Klasa II

Dalsze powtarzanie materiału I klasy drogą ćwiczeń. Rozwiązywanie zadań na 1-2 działań w zakresie 100. Dodawanie i odejmowanie liczb mianowanych. Tabliczka mnożenia.

Klasa III

Piśmienne dzielenie przez pełne dziesiątki i przez liczbę jednocyfrową. Rozwiązywanie zadań na 3-4 działania. Nawiasy. Przekraczanie tysiąca. Podział liczb na klasy (dziesiętny). Numeracja liczb wielocyfrowych. Ćwiczenia w bieżym ustnym odejmowaniu w zakresie 100.

Klasa IV

Odpowiednie do planu przerebionego w szkole. Cztery działania w zakresie miljarde. Rozwiązywanie zadań na 3-4 działań. Działania na liczbach wielomiejscowych.

Historia**Klasa IV**

Według lekcji szkolnych uzgodnionych z dyrektorem Szkoły polskiej. Specjalne zwrócenie uwagi i podkreślenie stosunku Niemiec do Polski, począwszy od czasów Piastów.

Przyroda**Klasa III**

O glebie i jej składnikach. Gлина, piasek, czarnoziem. Przepuszczalność wody i inne ich właściwości. Działanie ciepła i zimna na górskie skały. Powstanie gliny i piasku. Zużytkowanie ich w budownictwie. Cegielnie, garncarnie i huty szklane.

Klasa IV

Według lekcji uzgodnionych z dyrekcją szkoły polskiej

Geografia również według lekcji szkolnych.

Śpiew – wszystkie dzieci uczą się razem. Przerobię piosenki „Parla Kasieńka”, „Tam koło młyna”, „Dwa wróbelki” i „Rotę”. Łatwiejsze piosenki na dwa głosy.

5. Aktubińsk

Aktubińsk, to miasto, do którego przyjechałyśmy w maju 1944 r. z pozwoleniem na utworzenie większego domu dziecka. W nim po raz pierwszy od wywózki zobaczyłam drzewa, były to akacje i nie bardzo przypominały nam mi drzewa bo rosły w formie krzewiastej.

Jeszcze nie było dla nas wyznaczonego lokalu więc za jakieś wymienione rzeczy mama z koleżanką wynajęły lepianki. Pierwsze dzieci przybyły 8 maja, było ich sześcioro. Początkowo spaliśmy na siennikach wszyscy razem, ale już na początku jesieni otrzymaliśmy swoje lokum. Z tamtego okresu pochodzi piosenka ułożona i śpiewana przez dzieci.

A nasz sierociniec jest bardzo kochany
Choć ma dach dziurawy i przewiewne ściany
Pełno w nim radości i gwaru wielkiego,
Chociaż czasem mało chleba powszedniego.
Pani dyrektorka po urzędach puka
Dla swojej dzieciarni pożywienia szuka
Pani Dyrektorko, daj ci Boże zdrowie,
że swym trudem trzymasz, to sieroce mrowie.
Nasza panna Tosia to dobra kucharka
Czasem da do zupy na dwóch po pół skwarka
Kuchareczko nasza nie żałuj nam szperki
daj po pełnej misce kaszy lub zacierki

Poprzednio w tym budynku mieściła się szkoła, później szpital. Na parterze utworzono rosyjski dom dziecka, a na piętrze nasz, polski. Do naszego domu dzieci przybywały lawinowo, znajdowano je głównie na dworcach, wałęsające się po ulicach, czasami NKWD przyprowadzało jakiegoś malucha. Kierownictwo otrzymywało porcje żywnościowe zawsze dla mniejszej liczby dzieci niż wynosił stan rzeczywisty, np. przydział obliczony dla 100 osób, a dzieci przebywało 150. I tak oto małe porcje trzeba było jeszcze dzielić na mniejsze.

Mimo, iż w jednym budynku mieściły się dwa domy dziecka, nie mieliśmy wspólnych zajęć, zabaw, tylko nasze delegacje wzajemnie uczestniczyły w akademiach organizowanych np. z okazji rocznicy rewolucji październikowej lub święta 1 Maja. Naszym nauczycielkom przy tej okazji udawało się przemyścić nieco tekstów i piosenek dotyczących Konstytucji Majowej. W mieście był park, a w nim letnie kino. Od czasu do czasu po zakupieniu biletów wstępu chodziliśmy na filmy. Tam też po raz pierwszy obejrzałam film w kolorze, był nim „Złodziej z Bagdadu”

Jak wyglądało nasze życie w domu dziecka najlepiej odzwierciedli sprawozdanie mojej mamy, które napisała na potrzeby jakiegoś urzędu, a które w formie brudnopisu zachowało się do dnia dzisiejszego (zachowana oryginalna pisownia):

Aby dać wyrazisty obraz życia i pracy naszego sierocińca, nie ograniczę się w sprawozdaniu do samego pierwszego półrocza tego roku szkolnego, lecz cofnę się wstecz do początku 1945 r.

Na 1. Stycznia 1945 r. kontyngent sierocińca wynosił 100 dzieci. Na tyleż dzieci był ułożony nasz budżet. Dzieci jednak z każdym dniem przybywało, tak, że na 1. lipca 1945 r. liczba ta wzrosła do 133. Dzieci wyszły z zimy dość słabe, wskutek chorób, jakie zimą tutaj panowały. Wskutek usilnych starań kierownictwa i pracowników, przy pomocy miarodajnych czynników rządowych, stan ten został prawie całkiem likwidowany. Dzieci nabrały sił, z zapalem zabrały się do pracy nad nauką szkolną i tak że koniec roku szkolnego nie przyniósł dzieciom ni kierownictwu żadnych przykrości. Wszystkie dzieci sierocińca, będące uczniami szkoły polskiej w Aktiubińsku a było ich 127, przeszły do klas wyż-

szych z wyjątkiem kilkorga nieklasyfikowanych z powodu długiej, ciężkiej choroby. Wakacje dzieci spędziły na podchozie (wyjaśnienie, odpowiednik polskiego PGR). Wyjątek stanowi grupa dzieci najmłodszych i dzieci słabych. Dzieci używały tam ruchu na świeżym powietrzu, kąpały się w rzece i pomagały przy pracy na roli. Miejsowość jednak, gdzie znajdował się podchóz okazała się malaryczna i wszystkie dzieci nabawiły się złośliwej malarji, która bardzo zrujnowała ich zdrowie. Pomimo usilnych starań zapobiegawczych, stan ten trwał dość długo, tak że początek obecnego roku szkolnego zastał dzieci słabe i bardzo wycieńczone. Kierownictwo sierocińca poczyniło starania u władz miejscowych, zaalarmowało Komisję Opieki Społecznej, zdobyło wszelkie możliwe fundusze i pomoc i postawiło dzieci na nogi. Na dzień dzisiejszy nie ma w sierocińcu ani jednego dziecka poważniej chorego, a wygląd ich nie pozostawia nic do życzenia. Jest wprawdzie kilkoro dzieci słabych, zagrożonych chorobą płucną, ale są to takie dzieci, które już do sierocińca przybyły w stanie pozostawiającym dużo do życzenia. Robi się jednak, co można, nawet więcej niż można, aby ten stan usunąć. Dzieci te są na specjalnych prawach, żywienie ich nie jest ograniczone ani normą ani porą dnia. Są one pod opieką lekarza i siostry – pielęgniarki, która czuwa nad polepszeniem ich zdrowia.

Na 1 stycznia 1946 r. kontyngent sierocińca wynosił 144 dzieci. Z tej liczby 11 dzieci w wieku przedszkolnym, a 133 dzieci uczęszcza do szkoły polskiej. Są one rozmieszczone jak następuje; klasa I – 45 ucz., klasa II – 36 ucz., klasa III – 27, klasa IV – 13 uczniów, klasa – 10 ucz. Dwoje dzieci nie objęte nauką z powodu choroby, a raczej z powodu bardzo słabego zdrowia. Dzieci uczęszczają do szkoły regularnie. Uczą się pilnie i z zapałem.

Wyniki klasyfikacji półrocznej są następujące. Na ogólną liczbę 131 uczniów 4 dzieci otrzymała wynik niezadowolający z jednego przedmiotu – 6 dzieci nieklasyfikowano z powodu choroby. Reszta dzieci uzyskała wyniki dobre i bardzo dobre. Ma tu wielkie znaczenie pomoc w nauce, jaką dają wychowankom naszym wychowawczynie. Lekcje przerabia się w domu starannie w sposób zorganizowany. Wychowanie i uświadamianie polityczne przeprowadza się drogą pogadanek, czytania gazet i omawiania przypytanych artykułów. Wyrabia się w dzieciach poczucie patriotyzmu i poczucia obowiązku jaki mają względem naszej ojczyzny. Wielki nacisk kładzie się w wyrobienie uczucia przyjaźni dla ZSRR oraz na wyrabianie znaczenia tej przyjaźni dla Polski.

W celu przyuczenia dzieci do pracy i jej poszanowania zorganizowano pracę w kole rękodzielniczym, gdzie dzieci dzieją na drutach, naprawiają swoją bieliznę i ubrania, chłopcy naprawiają drobniejsze uszkodzenia w inwentarzu. Z puszek od konserw, chłopcy porobili bardzo ładne garnuszki, przez co skrócili czas zużywanego dotychczas na śniadanie (było mało naczyń). Prócz tego zaprowadzono dyżury dzieci w sypialniach, jadalni, kuchni i na korytarzu. Wieli nacisk kładzie się na samoobsługę.

Poza nauką szkolną dzieci uczą się deklamacji, śpiewu, tańców rytmicznych i narodowych. Wszystkie te prace wykonuje się w kołach zorganizowanych. Kół takich jest cztery; chór, koła taneczne, koła dramatyczne, koło rękodzielnicze. Każde koło ma swego kierownika z grona wychowawczyń. Wyniki pracy w tych kołach dzieci pokazywały w szeregu uroczystości, które były obchodzone w sierocińcu i które nader życzliwie były przyjęte i ocenione przez przedstawicieli władz i szeroką publiczność. Dzieci brały także udział w uroczystościach ogólnopolskich urządzanych przez obwodowy ZPP występując z tańcami i śpiewem.

W ciągu 1945 r. były w sierocińcu obchodzone następujące uroczystości.

1. Choinka – 3 stycznia
2. Dzień śmierci Lenina – 21 stycznia
3. Dzień Armii Czerwonej – 23 lutego

4. Międzynarodowy Dzień Kobiety – 8 marca
5. Obchód ku czci 1-3 Maja – 3 maja
6. Imieniny W. Wasilewskiej – 23 czerwca
7. Rocznica Rewolucji Październikowej – 7 listopada
8. 25- lecie Kazachstanu – 18 listopad
9. Choinka – 31 grudnia

Podręczników szkolnych jest bardzo mało. Najlepiej zaopatrzona jest w podręczniki klasa I, którą zaopatrzyliśmy w podręczniki przechowane z ubiegłego roku szkolnego. Zeszytów jest wystarczająco. W tym roku z zeszytami i przyborami szkolnymi jest o wiele lepiej niż w roku ubiegłym.

Zimowe wakacje dzieci nasze spędziły wesoło, bawiąc się i odpoczywając. Na przeciąg wakacji, był opracowany specjalny plan. Były więc odpowiednie pogadanki, rozmowy wychowawczyń z dziećmi, czytanie, były żywe rebusy, które grupa najmłodsza urządziła dla wszystkich dzieci, była także rewia na tematy aktualne i tematy wzięte z życia domu dziecka. Dwa razy zorganizowano wyświetlanie filmu, co dało dzieciom dużo wrażeń. Poza tymi rozrywkami, dzieci używały dużo ruchu na powietrzu.

Wielką bolączką naszą jest niedostatek ubrania i obuwia. Za mało mamy odzieży wierzchniej, bardzo mało bielizny i pościeli. Dotychczas te braki nie były wielką przeszkodą w uczęszczaniu do szkoły, ze względu na dość łagodną w tym rok zimę. Jeśli jednak nastaną silniejsze mrozy, sytuacja ta zmieni się na gorsze, gdyż dzieci są źle ubrane i narażać je na przeziębienie nie można. Z opałem dotychczas jest nienajgorzej. Wprawdzie nie zostaliśmy zaopatrzeni w odpowiednią ilość opału w przepisowym terminie, ale stopniowo wypisują nam węgiel i dzieci dotychczas nie znają zimna.

Pracowników etatowych jest 19. Z tych jeden zastępca dyrektora (do spraw pedagogicznych) i 6 wychowawczyń, reszta to personel techniczny. Prócz tego jest jeszcze lekarz i buchalter, który pracuje jako przychodni, wszyscy pracują szczerze i oddaniem się, starają się zastąpić dzieciom dom i rodzinę.

Wspomniany w sprawozdaniu pobyt wakacyjny spowodował, że łącznie z nami bardzo dużo dzieci zachorowało na malarię. Pomimo interwencji u władz radzieckich lekarstw tym chininy nie otrzymywaliśmy. Zażywaliśmy co prawda bardzo jaskrawe żółte pigułki nazywane akrychiną, po których nasza skóra przybierała charakterystyczne dla Chińczyków zabarwienie. Dopiero później dowiedziałam się, że była w nich minimalna ilość chininy. W sytuacji, gdy na lekarstwa nie można było liczyć, mama nawiązała nieformalną znajomość z jednym z lekarzy ze szpitala wojskowego, który w zamian za chleb dostarczał nam leki. Nie była to bezpieczna zamiana, bo przecież lekarz dokonywał kradzieży. Zapamiętałam taki obrazek, który wywarł na mnie ogromne wrażenie. Za kradzież kartek na chleb jedna kobieta i dwóch mężczyzn, zostali skazani na karę śmierci. Tych skazanych prowadzili pod karabinami ulicą, tuż przy naszym sierocińcu, a stojący obok mieszkańcy pluli na nich i rzucali kamieniami. Byłam bardzo roztrzęsiona tym widokiem, co prawda po pewnym czasie wrażenie poszło w zapomnienie, ale odżyło w momencie, kiedy na prośbę mamy poszłam do szpitala odebrać „wygospodarowane” dla dzieci lekarstwa. Były one nam bardzo potrzebne, bo już dwójka dzieciaków zmarła i dlatego mama zaleciła mi pośpiech. Niosąc ukryty pod fartuszkami owinięty bochenek chleba, bardzo się denerwowałam, bo wiedziałam, jaka spoczywa na mnie odpowiedzialność. Bałam się przede wszystkim o mamę, bo jeśli mnie coś

się nie uda, to myślałam, że mamę spotka coś złego. Długo czekałam wtedy na lekarza, niestety nie mógł się ze mną spotkać. Z tamtej pełnej stresu wędrówki pamiętam jeszcze, ciepło smoły, w której znalazły się moje nogi. Nie mając butów chodziłam w kaloszach, a ponieważ wysoka temperatura rozpuściła nawierzchnię ulicy wylanej smołą, kalosze mi w niej ugrzęzły a uwolnione stopy zatopiły się w ciemnej, gorącej mazi.



Oprócz tabletek inną, stosowaną metodą leczenia był rozgrzewający kompres, który mama stosowała według zaleceń przychodzącej do nas lekarki. W wodzie o pokojowej temperaturze należało namoczyć prześcieradło, zawinąć nim dziecko a następnie owinąć jeszcze 2-3 kocami i trzymać tak, aż do momentu wypocenia się. Zabieg ten pomagał w obniżeniu temperatury i oczyszczał organizm z toksyn.

W 1945 roku zmarło najwięcej osób na tyfus. Nam udało się go pokonać. Jako pierwszy zachorował Jurek, później ja a mama najpóźniej. Przez 35 dni leżałam nieprzytomna, w tym czasie przychodziła do nas moja koleżanka, paliła w piecu, nawet nie wiedziałam, że mnie karmiła. Gdy tylko mogłam siadać dano mi gazetę i grzebień, aby usunąć wszy, które podczas choroby rozpleniły się niesamowicie. Było ich takie mnóstwo, że słyhać je było jak spadały. Wszy i pluskwy były cały czas, a w Dżurunie towarzyszyły nam jeszcze stonogi, były ciemnopopielate z bardzo wyraźnymi białymi paseczkami. Strasznie się ich bałam i nie położyłam się spać, jeśli dokładnie nie sprawdziłam łóżka. Jeszcze gdy byłyśmy w kołchozie i pojawiły się pierwsze insekty mama poprosiła rodzinę z Polski o przysłanie grzebienia takiego z gęstymi zębami dzięki któremu wyczesywałyśmy owady. To czyszczenie włosów należało do stałych obowiązków, było to dla nas tak naturalne jak utrzymanie codziennej higieny. Przeznaczoną do tego celu mieliśmy jeszcze przez przypadek zabraną z Polski białą pieluszkę. Niestety, wysoka gorączka podczas choroby i insekty bardzo zniszczyły moje włosy. Gdy wyzdrowiałam poszłam do fryzjera i powiedzia-

łam, że ma brzytwą zgolić moje włosy. Wyglądałam tragicznie, bo moja łysa głowa była cała niebieska. Z czasem zaczęły mi odrastać pięknie włosy. Mama dłużej dochodziła do zdrowia, gdy tylko mogła samodzielnie jeść otrzymała od kogoś owoc granatu. Bardzo jej smakował i miałam wrażenie, że ją wzmocnił. Gdy przyszła kolejna fala gorączki zamieniałam kawałek chleba na jeszcze jeden owoc. W sierocińcu poza niewielką umywalką nie mieliśmy możliwości kąpieli. Dlatego co pewien czas odprowadzani byliśmy do miejskiej bani, a tam pracownica z drewnianą łyżką obdzyliła nas niewielką ilością mydła w płynie. W tym czasie nasze ubrania były odswadzane.

Starania działaczy ZPP umożliwiły przekazanie potrzebującym Polakom części produktów żywnościowych i sprzętu zatrzymanego po zerwaniu umowy o amnestii. Nasza kuchnia otrzymała czterdziesto kilogramową beczkę smalcu. Dziewczynki dyżurujące w stołówce (po zważeniu chleba, aby nie było posądzeń o kradzież) maczały kromki chleba w rozpuszczonym tłuszczu, a my pochłanialiśmy taką pajdkę z takim apetytem, jakby to był produkt najwyższej jakości. Dopiero od niedawna wiem od mojej wychowawczyni z Aktubińska – panny Wandzi, bo tak ją zawsze nazywaliśmy, że mama w porozumieniu personelem naszego sierocińca podzieliła się tym smalcem z dziećmi z parteru, czyli z dziećmi rosyjskiego Dietdomu.

Nasz Dom Dziecka regularnie odwiedzał Rosjanin, był to pierwszy skrzypek opery z Leningradu lub z Kijowa, miał może około 40 lat, a pamiętam go, bo grał dla nas i pisał nuty. A pisanie polegało na tym, że wołał mnie, kazał śpiewać i w tym samym czasie zapisywał nuty, bo nie znał naszych narodowych tańców np. krakowiaka, poloneza, kujawiaka. Takie zajęcia z nim były dla nas dużym urozmaiceniem, a ponadto potrafił bardzo pięknie opowiadać.

Z naszego dawnego kołchozu wyjechało kilkoro dzieci licząc, że dostaną się z armią Andersa za granicę. Niestety przyjechały za późno, granica już była zamknięta i okazało się, że zostały gdzieś pod Ałma-Atą bez pieniędzy i bez opiekunki, która ich przywiozła. Najstarsza z grupy, 13 latka zebrała błakające się dzieci i podjęła próbę powrotu. Udało im się powrócić dzięki pomocy oficerów Armii Czerwonej, którzy po leczeniu wracali z powrotem na front. Zabrali dzieci do wagonów i tam ukrywając przed prowadnikiem czyli takim opiekunem wagonu i dzieląc się swoją żywnością dowieźli je do Aktubińska. Część tych dzieci wróciła do swoich matek, część do naszego sierocińca. Tylko dzieciom, które wcześniej wyjechały z Dżurunu udało się wydostać z ZSRR.

Pamiętam przygotowania do świąt w 1945 r. Do Aktubińska dotarło pięć choinek. Nasz dom dostał jedną z nich na trzy dni. Jednej z choinek obcięto czubek i zostałam nim obdarowana. Wcześniej szukałam czegoś zastępczego, co mogłoby służyć za choinkę, dlatego z podarunku byłam ogromnie zadowolona i chciałam zawiesić na niej coś bardzo tradycyjnego. Każdy z nas na śniadanie dostawał kromkę chleba. Tą właśnie kromkę zamieniałam na rynku na bombkę. W ten sposób pozyskałam 7 bombek. Wtedy mama o tym nie wiedziała, bo bym dopiero się nasłuchiwała. Do dnia dzisiejszego pozostały mi jeszcze 3, zawsze, gdy je wieszam mówię do najbliższych uważajcie i pamiętajcie, że każda bombka to jest moje śniadanie. Większość zabawek wykonywaliśmy wcześniej i samodzielnie. Nie było materiału na ozdoby, dlatego kupowało się papier na kartki oraz farbki do farbowania wełny. W naszej polskiej tradycji do zdobienia choinki wykonywało się z różnokolorowych ogniw długie łańcu-

chy. Mama miała z tego powodu nie lada kłopot i musiała się jakoś mądrze wytłumaczyć, by nie było żadnych konsekwencji. Wyjaśnienie dotyczyło, dlaczego wolną, radziecką choinkę mama pozwoliła zakuć w łańcuchy.

W sytuacji, gdy prawie wszyscy Polacy wyjechali z Aktiubińska, kierownictwo domu dziecka zaczęło obawiać się, że ich sierociniec nie zostanie przeznaczony do repatriacji. Dlatego mama wysłała pismo zredagowane wspólnie z dziećmi do Przewodniczącej Opieki Społecznej w Moskwie z prośbą o umożliwienie wyjazdu do Polski. Nie wiem czy faktycznie to miało jakieś znaczenie, ale wkrótce z wydziału oświaty w Moskwie przyszedł telegram, aby przygotować się do ewakuacji i że na czas transportu do Polski dostaniemy osobowy wagon. Niestety, trójki dziewczynek nie mogliśmy ze sobą zabrać, bo ich matki przebywały w więzieniu. Formalnie matki te zostały skazane na 5 lat za sianie propagandy i kładzenie pasjansa. A tak naprawdę za to, że nie przyjęły sowieckiego obywatelstwa. Nie mogliśmy zabrać ze sobą także dzieci pochodzenia ukraińskiego i białoruskiego. Bardzo rozpaczaliśmy, bo w tych trudnych warunkach wszyscy byliśmy bardzo życzliwi, stanowiliśmy jedną wielką rodzinę.

Mama zapisała się do ZPP dopiero w maju 1945 r., kiedy już nie było wyjścia, bo miała 150 dzieci, które chciała wywieźć do Polski. Licząc, że ta przynależność jej pomoże, postanowiła adoptować te trzy dziewczynki, które nie dostały zgody na wyjazd, bo już pogodziła się z tym, że część dzieci musi pozostać w ZSRR. Uzyskała zgodę matek i rozpoczęła formalne starania, i wtedy NKWD wezwało ją, jak zwykle w nocy, bo oni tylko w nocy pracowali i mówią „słuchaj dyrektor masz 150 dzieci masz, masz 2 swoich masz, jeśli chcesz pojechać na zachód a nie na wschód to się uspokój”. Po wielu latach dowiedziałam się, że dziewczynki te wróciły do Polski.

Jechaliśmy do Polski mając do dyspozycji 5 wagonów osobowych. W jednym z wagonów jechała grupa starszych chłopców z wychowawczynią, w drugim dziewczynki, w kolejnych tzw. średniacy no i maluchy takie 3-5-letnie.

Wychowanka mamy, Stefania, miała starszego, szesnastoletniego brata, który z racji wieku nie mieszkał razem z nami, bo skończył 2 letnią szkołę przysposobienia i był już samodzielny, czyli pracował. Takich szesnastolatków traktowano jak dorosłych. Czasami przychodził do siostry w odwiedzin, a mama, gdy tylko miała możliwość, przypominała; Tadiusiu, idź wyrób sobie dokumenty, że jesteś Polakiem, przecież nikt za ciebie tego nie może zrobić. Czekamy już na dworcu na podstawienie pociągu, gdy przebiega Tadiusiu, oczywiście bez dokumentów i błaga o dołączenie go do listy osób uprawnionych do powrotu do kraju. Mama zaryzykowała i wzięła go licząc chyba na cud. Obcięto mu włosy tak jak innym dzieciom, ubrano w drelichowe ubranie i włączono do grupy chłopców. Do granicy z Polską opiekowała się nami z ramienia radzieckiego kuratorium urzędniczka, która dysponowała pieniędzmi na potrzeby podróżujących dzieci i do jej obowiązków należało zaopatrywać nas w pożywienie. Niestety zbyt nas nie rozpieszczała. Dzięki przezorności mamy mieliśmy zapasy i tylko one pomogły nam przetrwać tygodnie jazdy pociągiem. Ponieważ Rosjanka zaoszczędziła na nas dużo pieniędzy, mama powiedziała dobrze, Szurka, ja ci dam te zaoszczędzone na dzieciach pieniądze, ale ty będziesz milczała o Tadiusiu. Zgodziła się. Na granicy radziecko-polskiej wszystkie dzieci musiały opuścić wagony, które zostały sprawdzone a następnie rozpoczę-

ło się wyczytywanie nazwisk. Syn naszego intendenta, polski Żyd był wpisany w papierach intendenta i w papierach domu dziecka. Jak wywołali z drugiej listy nazwisko Zukenberg Milek to Tadiusz za niego odezwał się i w ten sposób przeszedł kontrolę. Mama była bardzo szczęśliwa, że wszystko się udało, gdy nagle podczas żegnania się z urzędniczką usłyszała, „nie wszystko jest dobrze, ja ciebie zaskarżyłam”.

I nagle zaczęły się wielkie problemy, bo zabrano mamę z pociągu, a wagon z nami skierowano na boczny tor. Od momentu, kiedy wyruszyliśmy z Aktubińska każdy dłuższy postój wywoływał w nas niepokój, że może jednak nie dane nam będzie dojechać do Polski, że każą zawrócić pociąg. I oto strach przybrał realny kształt. Siedzieliśmy cichutko w wagonie, jak długo, nie wiem? Mama opowiadała, że trafiła na bardzo dobrego człowieka, bo gdyby trafiła na typowego enkawudzistę, to by ją wziął do aresztu, a tylko dzieci polskie przeszłyby przez granicę. Bała się także o mnie i o brata, zastanawiała się czy ma nas zostawić w Polsce czy wziąć ze sobą do ZSRR, bo liczyła, że już nie wróci. Tłumaczenia mamy, że nie miała wyboru i musiała dołączyć brata do siostry, bo obydwój rodzice zmarli na zesłaniu chyba przekonały starszego, siwego już podpułkownika, bo gdy siedziała w poczekalni z Tadzikiem to słyszała, że kilkakrotnie dzwonił do Moskwy. Jak to się stało, że ktoś z Zarządu Głównego Związku Patriotów Polskich oddzwonił, nie wiadomo. Cud, na który mama liczyła, dokonał się. Po wielu godzinach, nocą przyszedł podpułkownik ze słowami: „no dyrektor weź swojego chłopaka, niech rośnie na dobrego i uczciwego człowieka”. Wspominając te chwile pełne niepokoju mama zawsze mówiła, że modliła się za jego mądrość, dobroć i rozsądek.

6. Polska

W maju 1946 r. dotarliśmy do Gostynina, do Domu Rozdzielczego, bo to tutaj były kierowane dzieci repatriowane z domów dziecka w ZSRR. Gdy kończył się dwutygodniowy okres kwarantanny, mama musiała wybrać do którego miasta chce pojechać. Do wyboru miała Elbląg, Kwidzyn, Malbork i Sztum, ale przecież nie знаła tych terenów i siedząc nad niemiecką mapą zastanawiała się co wybrać. W tym też czasie napatoczyłam się i mama zapytała mnie o zdanie. Rezonownie zapytałam, a które z tych miast jest największe, chyba Elbląg i zaraz dodałam, czy w Elblągu są takie same tramwaje jak we Lwowie? I tak oto zdecydowałyśmy o pobycie w Elblągu. Wyruszyliśmy 24 maja 1946 roku. Z podróży pociągiem mama wspominała, że jak dojechalismy do Malborka, dyspozytor gdy dowiedział się że jedzie 94-osobowy transport dzieci z Kazachstanu ściągnął w nocy kucharki, aby nas nakarmiły. Nikt mu nie wyjaśnił, że nie był to transport bezpośredni i że głód należy już do przeszłości. Ale jaki to piękny przykład ludzkiej solidarności. W Elblągu umieszczono nas na ul. Saperów, zastaliśmy piętrowe łóżka, na których spało się nam wygodnie, a po 3 dniach przeniesiono na ul. Królewicką.

Po przyjeździe do Elbląga mama poprosiła żeby dzieci napisały, co wiedzą o swoich bliskich, aby mieć informacje jak dalej postępować. Niektórzy wiedzieli że mogą się spodziewać powrotu ojca lub matki z wojny lub że mają rodziny w Polsce. Jako dziecko, przez wszystkie lata miałam nadzieję, że w tym bałaganie wojennym nasz tata wkrótce się znajdzie. Mama także się nie poddawała i wciąż miała nadzieję na rychłe jego spotkanie z rodziną. Już podczas

pobytu w kołchozie rozpoczęła poszukiwania. Lwowski prokurator udzielił informacji, że Józef Franczuk wjechał do Kijowa, a kijowski, że ma zwrócić się do NKWD w miejscu zamieszkania. Z Moskwy przyszła odpowiedź, że NKWD nie prowadzi poszukiwań więźniów i nie wie gdzie się ojciec znajduje. Poszukiwania kontynuowane z Polski przez Czerwony Krzyż również niczego nie wniosły. Jako osoba dorosła, gdy straciłam nadzieję, że ojciec odnajdzie się żywy marzyłam o tym, aby znaleźć jego prochy i zlokalizować miejsce jego pochówku. Pomógł mi w tym Pan Andrzej Przewoźnik. Kiedy przyjechał z odczytem do Elbląga poprosiłam go o pomoc. Na podstawie Ukraińskiej Listy Katyńskiej ustalono, że został rozstrzelany w Bykowni. Byłam tam na poświęceniu czwartego wojennego cmentarza katyńskiego 21 września 2012 roku. Na zakończenie chciałabym dodać, że miałam zwyczajną, ciepłą i troskliwą matkę. Ale była ona jednocześnie wspaniałym człowiekiem, gorącą patriotką, oddanym nauczycielem osobą pełną hartu ducha i niezwykłym pedagogiem.

*

Elżbieta Pancer-Koteja

Syberia – kronika z lat 1940-1946

Dla całej mojej Rodziny – bliższej i dalszej – starałam się spisać zeszłocześnie zdarzenia przeze mnie zapamiętane lub zasłyszane od Rodziców. Jak wiadomo, przy wspomnianiu dzieciństwa nie są to źródła łatwe do odróżnienia. W miarę możliwości usiłowałam jednak sygnalizować, które wypadki lub obrazy jawią mi się jako moje własne przeżycia.

1940 r.

Czerwiec (wydaje mi się, że około 20-go). Wywieziono nas na Syberię z Włodzimierza Wołyńskiego do łagru w okolicy Bieriegajewa (Beregayev, Beregayev). Zabrano całą rodzinę – mojego Ojca Michała Pancera (40 lat), Matkę Alinę (41), Babcie Celinę Sienicką (z domu Dobrzańska, 71 lat) oraz troje dzieci: Danutę (prawie 12 lat), mnie (niecałe 7 lat) i Marię (niecałe 3 lata).

Tu chyba konieczna jest dygresja. Moi Rodzice urodzili się na Ukrainie i tam ukończyli rosyjskie gimnazja jeszcze przed październikową rewolucją 1917 r. Po I wojnie światowej osiedlili się w Warszawie. Ojciec pochodził ze starej warszawskiej rodziny i miał tam krewnych, a Matka przyjechała do Warszawy, ponieważ pragnęła zdobyć wyższe wykształcenie i podjęła studia na Wyższej Szkole Handlowej. Poznali się w pracy – w Komunalnej Kasie Oszczędności, pobrali w 1927 r. i nadal mieszkali w Warszawie, ale parę lat przed wojną kupili kawałek ziemi (14 ha) w Chrobrowie na Wołyniu. Babcia i Mama spędzały tam z dziećmi całe lato, a Ojciec urlopy. Latem 1939 roku Ojciec dostał urlop dopiero w ostatnich dniach sierpnia. W Chrobrowie zdążył pobycć chyba tylko 1 dzień (a może kilka godzin?) i zaraz na wiadomość o wojnie wyruszył z powrotem do Warszawy – to było Jego służbowym obowiązkiem. Reszta rodziny, po rozmaitych perypetiach, wyjechała do Łucka (mieliśmy tam krewnych Mamy). Ojcu nie udało się już przedrzeć przez linię frontu, wrócił po paru tygodniach i odnalazł nas w Łucku. Rodzice przeżyli na własnej

skórce bolszewicką rewolucję, stąd zataili fakt posiadania ziemi na Wołyniu (pamiętam, jak mnie uczono by nikomu obcemu nic nie mówić o Chrobrowie) i za wszelką cenę usiłowali dostać się pod niemiecką okupację. Już umówione przejście przez „zieloną granicę” to właśnie ja udaremniłam przez zachorowanie na odrę. Po otwarciu przejścia granicznego we Włodzimierzu Wołyńskim Rodzice tam pojechali podając się za „bieżeńców” (uciekierów) z Warszawy.

Te okoliczności zaważyły na naszym losie. Wyjaśniają skąd my – warszawiacy – znaleźliśmy się tak daleko na wschodzie Polski, pod radziecką okupacją. Ale może ważniejsze jest to, że biegła znajomość języka rosyjskiego oraz specyfika zawodu – finansowość – uchroniły moich już nie najmłodszych Rodziców przed wyrąbaniem tajgi. Zaraz po przybyciu do obozu więźniowie musieli podać swój zawód i Rodzice po paru dniach zostali zatrudnieni w kancelarii. Nie chroniło to od głodu, ale oznaczało pracę pod dachem. Jestem przekonana, że – jak tyłu innych – nie przeżyliby pracy w tajdze.

Samego aresztowania we Włodzimierzu Wołyńskim prawie nie pamiętam. Z opowiadań Mamy wiem, że Rodzice byli na to przygotowani, ponieważ rozeszła się pogłoska, że będą tej nocy wywozić „uciekierów”. Ktoś nam radził by się schować, ale byliśmy tam tylko przejazdem i nie znaliśmy nikogo. Rodzice zatem spakowali swoje skąpe bagaże (już byli po wojennej tułaczce) i położyli dzieci spać, a sami siedzieli całą noc i czekali. Kiedy zrobiło się widno, Ojciec podszedł do okna i powiedział „no, chyba nas ominęli” i w tym momencie zobaczył, że przez furtkę ogródka już wchodzi uzbrogoni. Mama wyszła do drzwi i poprosiła żeby byli cicho, bo dzieci śpią i ona sama nas pobudzi. Nasi strażnicy zachowali się spokojnie i przyzwoicie, w przeciwieństwie do tych, którzy wywozili ludzi w zimie 1940 r. Zimową wywózkę Polaków „z listy” przeżyliśmy na przykładzie najbliższych sąsiadów w Łucku. I to właśnie brutalność tamtych wydarzeń – walenie kolbami w drzwi i wrzaski – pozostawiła we mnie ślad – długo budziłam się nocami (ostatni raz w 1981 r. – gdy moje dzieci tylko, na szczęście, śmiały się z żartów typu: „wejda – nie wejda”). To przeżycie z Łucka opisałam w „Wywiadzie” dla Marysi – mojej Wnuczki.

Podróż pociągiem tzw. „bydlęcym” trwała około miesiąca. To, co zapamiętałam z niej opisałam dokładniej też w „Wywiadzie”. Tych wspomnień jest niewiele i nie pamiętam też by Rodzice na ten temat rozmawiali. Dojechaliśmy do jakiejś stacji, potem parę dni koczowania na brzegu rzeki w oczekiwaniu na statek i podróż statkiem. Potem jeszcze jakaś przesiadka? Na jakieś łodzie?, tratwy? Ale być może to już tylko wyobraźnia.

Pamiętam, że w obozie była jakaś nieduża rzeka, zapomniałam jednak jej nazwy (na „i”, Iszym – ale to dopływ Irtyszu, a miejscowość Bieregajewo według mapy leży nad Czutyłmem – dopływem Obi)?

Po przyjeździe do obozu znowu koczowaliśmy jakiś czas nad rzeką, bo w barakach jakoby trwała „dezynsekcja”. Nie przyniosła ona żadnych rezultatów i ilość pluskwów była nieprawdopodobna – odsuwanie prycz od ścian nie skutkowało, bo pluskwy spadały z sufitu.

1941 r.

To był głodny rok, bo tyle było porcji jedzenia ilu pracujących – u nas to było jak 2:4. Zima. Dochodzi do nas paczka, chyba od wujka Mietka Sienickiego, poprzez Czerwony Krzyż. Jedyna, chociaż rodzina w kraju wysłała kilka.

Paczka była duża, zawierała odzież, trochę jedzenia (pamiętam tylko kawałek suchej kiełbasy) oraz dwie książeczki: Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi” i „Wieczory pod lipą” – autora (ów) nie pamiętam. Zwłaszcza ta ostatnia pozycja to był nieoceniony skarb. Była to historia Polski przedstawiona w formie opowieści dziadunia dla gromadki wnucząt. Na okładce był odpowiedni rysunek, co nie jest bez znaczenia – kiedyś niespodziewany rosyjski „wizytator” (strażnik?) zainteresował się książką. Na to moja Mama spokojnie: „widzicie - to bajki dla małych dzieci”. I na tym się skończyło. Do dziś widzę tę scenkę tak dokładnie, że mogłabym narysować gdzie stała oniemiała Babcia. „Wieczory pod lipą” dały mi fundamenty wiedzy o historii Kraju – przede wszystkim chronologię głównych wydarzeń. Książka, wielokrotnie pożyczana, po pewnym czasie zaginęła. A tak nawiasem: był to mój jedyny kompletny kurs historii Polski, ponieważ jestem ofiarą powojennych reform szkolnictwa – tworzenia 11-latek. W rezultacie ani razu nie uczyłam się historii Polski!! W ogóle w szkole uczono takiej historii, (jaka by ona nie była), ale akurat moja klasa wpadła w swoistą dziurę programową.

Zachorowałam na ciężką malarię i spędzam parę dni w szpitalu obozowym. Obsługa życzliwa, ale ja nie umiem jeszcze rosyjskiego i wstydę się o cokolwiek poprosić. Zapamiętałam okropną gorycz lekarstwa (chinina), które ugrzęzło mi w gardle, a ja już nie miałam wody do popicia.

21 lipca, niedziela. Danusia skarży się na ból nogi w kostce, pokazuje zaczerwienienie. W baraku „dezynsekcja” – wszyscy mieszkańcy równocześnie (inaczej nie byłoby skutku) walczą z pluskwami; Mama bagatelizuje skargę – każdy ma czerwone, boląco-świerzbujące bąble, bo jesteśmy pogryzieni przez komary, pluskwy i meszkę. W poniedziałek wieczorem jednak prosi o pomoc lekarza współwięźnia (Polaka), bo noga spuchła. Lekarz orzeka zapalenie stawów i zaleca zimne okłady; odrzuca sugestię Mamy, że może to być zakażenie. W środę występują czerwone smugi na nodze. Lekarz obozowy zabiera Danusie do szpitala (pamiętam ten moment), ale jest bezsilny. Po dwu (?) dniach sugeruje Rodzicom przewiezienie Danusi do szpitala w jakimś mieście (Omsku?!, Tomsku?!), by tam przeprowadzić amputację nogi. Nie gwarantuje przeżycia operacji. To podobno podróż ponad 150 km, nie bardzo wiadomo, jakim środkiem transportu. Żadne z Rodziców oczywiście nie może towarzyszyć dziecku – jesteśmy więźniami. Rodzice się wahają, odrzucają propozycję, a chyba w sobotę pojawiają się plamy na całym ciele i już wiadomo, że nie ma ratunku. Do końca życia gnębiła ich ta decyzja. Mama, gdy o tym parę razy opowiadała, kończyła: „przynajmniej dziecko umarło na moich rękach”. Nie mogła sobie tylko darować, że nie wezwali od razu lekarza obozowego – Rosjanina.

28 lipca, niedziela. Wieczorem Danusia umiera. Mama zaprowadza nas, Marysię i mnie, byśmy pożegnały siostrę. Dobrze to pamiętam, choć jej leciutko uśmiechnięta twarz ledwo mi majaczy w pamięci. Babcia już nie wstaje z łóżka.

29 lipca. Danusia leży w pustej izbie, tuż za ścianą. Już ubrana w swoją granatową, plisowaną spódniczkę (moje dzieciinne marzenie) i białą bluzkę; obok różowo-fioletowe leśne kwiaty (dziś wiem, że to była koprzyca; Mama już w Polsce, w Lasowicach, poprosiła bym nie zbierała jej na bukiety). Rodzice kopią grób na niby-cmentarzu w tajdze. Na zmianę kuja kilofem zamarniętą ziemię (już pół metra pod powierzchnią zalega wieczna zmarzlina). Ojcu serce zaczyna odmawiać posłuszeństwa – pamiętam, jak leży na posłaniu półżywy.

Ludzie mówią, że grób musi być głęboki, bo grunt jest niestabilny („wyrzuca” wszystko na powierzchnię), a wilki i niedźwiedzie często rozkopują zbyt płytkie groby. Następnego dnia pogrzeb, który trochę pamiętam: kilka osób, słoneczny dzień, zielono. Po pogrzebie jakaś Rosjanka mówi do Mamy: „Ty durna, płacz nad tymi co zostały, a nie nad tą, co już bezpieczna”. Mama to wspominała dodając (bez ironii): to były prawdziwe wyrazy współczucia.

Przełom lata i jesieni. Do łagru dociera wiadomość o porozumieniu Sikorskiego ze Stalinem i o tworzeniu się Polskiej Armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa – przestajemy być więźniami łagru. Pamiętam ogromne poruszenie i dyskutowane przez dorosłych liczne plany wyjazdu.

Wrzesień. Znaczna część więźniów (chyba ponad połowa?) decyduje się na spływ tratwami, aby dostać się do jakichś szlaków komunikacyjnych. W okolicy łagru tereny są bagienne (pamiętam drogi moszczone pniami drzew), nie ma żadnych dróg bitych, ani środków transportu. Moi Rodzice postanawiają przeczekać zimę, ponieważ Babcia jest ciężko chora, a Marysia jeszcze mała (4 lata). Po jakimś czasie dochodzą pogłoski, że większość z tych, którzy wyruszyli tratwami, nie przeżyła tej podróży.

2. grudnia. Umiera Babcia. Jeszcze w Polsce chorowała na nerki. Od wiosny nie podnosiła się z łóżka, ale dla mnie i tak była najważniejszą na świecie osobą. Nie przeczuwałam jednak, czemu w tym dniu Mama kazała nam bawić się u sąsiadów. W południe Mama przyszła z papuciami dla Marysi (uszytymi z koca przez sąsiadkę) i niesforna Marysia wbiegła wbrew zakazowi do naszej izby wołając: „Babciu mam butki, mam butki” i Babcia uniosła z uśmiechem głowę – wyraźnie bardzo się ucieszyła. O szóstej wieczorem Mama zawołała nas na posiłek – jadyśmy z boku, przy kaganku; Ojciec był w pracy, a Mama klęczała przy pościeli Babci. W pewnym momencie, cicho płacząc podprowadziła nas do pościeli i kazała się razem modlić. Za chwilę pochyliła się, pocałowała Babcie, złożyła jej ręce i nam kazała je ucałować. Ten wieczór pamiętam bardzo dokładnie. To wszystko było bardzo smutne, ale bardzo spokojne. Następnego dnia ktoś Rodzicom pomagał wykopać grób. Mam jednak wrażenie, że pozostał im cień niepokoju, że ten grób może nie spełnić swojej roli. Były trzaskające mrozy i głęboki śnieg.

Po śmierci Babci wydorosłałam. Trzeba było palić w piecu, obrać i ugotować ziemniaki, dopilnować małej Marysi. Robiłam to i przedtem, ale pod okiem Babci i na Jej odpowiedzialność. Rodzice w okolicy Nowego Roku byli szczególnie zajęci bilansem – musieli pracować do późnej nocy. Bali się pożaru (drewniany barak!), nie chcieli więc nas zamykać z zewnątrz, a nie można było też zostawić drzwi otwartych; nasz transport nie składał się z patriotów lecz ludzi zabieranych zupełnie losowo, nie brakowało i zwykłych zawodowych złodziei. Zamykałam więc od wewnątrz drzwi na haczyk i w nocy otwierałam Rodzicom. Oni na zmianę wybiegali z biura by posłuchać pod drzwiami, czy wszystko w porządku; kiedyś przeżyli wstrząs, gdy nie mogli się nas po powrocie dobudzić – wyobrazili sobie, że pewnie leżymy zaczadzone. W tym czasie największą pociechą Marysi i moją były dwa kociaki (zabierałyśmy je na wspólną pryczę). Ale o kotach chyba osobno napiszę.

1942 r.

Zima. W czasie tej zimy zaprzyjaźniłyśmy się z dwojgiem dzieci w naszym wieku – Tereską i Andrzejem (?) Kurowskimi (?). Ich matka już nie żyła,

ale nie wiem, kiedy i jak zmarła. Właściwie były to nasze jedyne poza-rodzinne kontakty. O ile pamiętam, dzieci nie było wówczas w naszym baraku dużo. Wiele osób prawie nie mówiło po polsku, a w każdym razie mówili łamaną polszczyzną – znaczną część więźniów stanowiła uboga ludność żydowska. Z Polaków pamiętam oprócz Kurowskich tylko młode małżeństwo, któremu niedługo po przybyciu do łagru urodził się synek. Po miesiącu zdarzył się wypadek – w ciasnej klitce przewrócił się na piecyku garnuszek gorącej kaszki i maleństwo zostało ciężko poparzone. Na szczęście przeżyło.

Mimo, że nie było kontaktów towarzyskich (trudno zresztą o życie towarzyskie wśród głodujących) często do nas przychodzili ludzie z prośbą o napisanie podania – Mama potrafiła to robić bardzo sprawnie. Niekiedy to Ona puszczała po cichu wiadomość, że coś tam należy się więźniom według przepisów (np. przydział kaszy mannej dla dzieci), co było skrzętnie ukrywane przez obozowe „naczalstwo”. Wtedy bywało u nas tłoczno.

Swoją wiedzę w tym zakresie Mama zawdzięczała Rosjaninowi – współpracownikowi w kancelarii obozowej, a jednocześnie współwięźniowi (siedział podobno za opowiedzenie politycznego dowcipu). Zapomniałam niestety jak się nazywał. Był życzliwy i niekiedy, co wspomniałam, starał się być pomocny. Pamiętam, że na Boże Narodzenie zdobył kilka (kilkanaście?) kolorowych czerwono-niebieskich ołówków i dał dla dzieci z obozu – tylko z zastrzeżeniem, by nikt nie dowiedział się od kogo pochodzą. Rodzicom mówił rozmaite rzeczy, ale tylko wtedy, gdy rozmowa była w cztery oczy – wystarczyło, że moi Rodzice byli razem, by milczał jak grób w sprawach nie służbowych. Oczywiście nie było też żadnych kontaktów poza biurowych. Od niego Rodzice dowiedzieli się, że nasz obóz został założony w 1933 r. (pamiętam, bo to rok mego urodzenia) i był przeznaczony dla więźniów politycznych. Więźniowie musieli sami pobudować sobie baraki w dziewiczej, nietkniętej ludzką stopą tajdze. Przed naszym przyjazdem ewakuowano ich robiąc dla nas miejsce; pozostało tylko kilku więźniów pełniących niższe funkcje administracyjne, bo „naczalstwo” było prawie niepiśmienne. On nam również zdradził, że po naszym przyjeździe nadszedł transport nowej odzieży ochronnej, który „rozpłynął się”, a ludziom wydano zużyte szmaty – podarte, stare „fufajki” i spodnie. Sam bardzo ostrożnie wypytywał o życie w Polsce, ale też o literaturę itp. sprawy dotyczące kultury. Rozbawił Ojca pytając go czy zna takiego pisarza, który nazywa się Sienkiewicz – kiedyś czytał go w przekładzie. Chętnie rozmawiał też o klasycznej literaturze rosyjskiej, którą moi Rodzice znali i cenili. Takie rozmowy miały miejsce oczywiście dopiero po paru miesiącach wspólnej pracy. Cóż, dzisiaj nasuwa mi się pytanie, czy jednak nie pełnił podwójnej roli? Czy pozostałby wobec nas lojalny, gdyby ktoś próbował zorganizować jakąś akcję? Moi Rodzice jednak ufali mu i byli wdzięczni za próby pomocy.

Marzec. Mama, Marysia i ja wyjeżdżamy do Załomnej; jedziemy całą dzień saniami przez tajgę, okutane czym się dało aż po same nosy. Załomnaja to niewielka osada, chyba nad Czulymem (?), do której jednak, po zejściu kry, dopływają statki – czekamy na pierwszą możliwość wyjazdu „do Andersa”. Mama znajduje pracę w jakimś biurze na przystani i wynajmuje małą izdebkę. Ojciec pozostaje jeszcze w obozie.

Którejś nocy o świcie obudziłam się i zobaczyłam, że siedzi jakiś człowiek i cichutko coś szeptem z Mamą. Rozpoznałam ojca Tereski i Jędrka, którzy po naszym wyjeździe zostali jeszcze w obozie. Mama kazała mi spać, a rano

absolutnie nikomu nie mówić o tej wizycie. Wytłumaczyła, że gdyby ktoś się dowiedział, tata Tereski mógłby trafić do więzienia. Otóż, p. Kurowski (nie jestem pewna nazwiska) popełnił „wielkie przestępstwo”, a mianowicie zebrał z ziemi trochę mąki (jeden czy dwa kilogramy!), która rozsypała się gdzieś przy magazynie. Ktoś doniósł i rzeczywiście groziło mu parę lat więzienia. Zdecydował się na ucieczkę, której szczegółów nie znam. Nie wiem komu powierzył dzieci; od mego Ojca dostał nasz adres w Załomnej, ale chował się u nas chyba tylko przez niecałą dobę, bo małej Marysi nie można było wytłumaczyć sytuacji. Nigdy niestety nie dowiedzieliśmy się czy udało mu się uciec (od nas odszedł bezpiecznie), ani co się stało z dziećmi, choć Rodzice próbowali się czegoś dowiedzieć przez Czerwony Krzyż.

Koniec maja? Początek czerwca? – Przybliża statek, a zawiadomiony uprzednio Ojciec dociera do nas (nie pamiętam jak, chyba na piechotę). Jeszcze godziny (dni?) niepewności, czy statek nas zabierze. Jednak płyniemy. Po pewnym czasie (nie pamiętam jak długim) dopływamy do Obi i – jestem tego prawie zupełnie pewna – następuje przesiadka. Po kolejnym bardzo nerwowym oczekiwaniu i licznych staraniach Rodziców, wsiadamy na duży, pasażerski statek i płyniemy w górę rzeki Ob. Rzeka jest ogromna – to jeszcze czas roztopów, pamiętam, że w pewnym miejscu nie widać było brzegów. To zresztą Mama, zafascynowana tym widokiem, wczesnym rankiem obudziła nas i zaprowadziła na pokład. Dziś mnie zdumiewa Jej ówczesna zdolność do zachwyty nad światem przyrody i chęć przekazania tego dzieciom. Ojciec był introwertykiem i jako dziecko nie miałam dostępu do Jego świata.

Razem z nami płynie jeszcze jedna polska, żydowska rodzina Zygelmanów – zamożni inteligenci, mówiący poprawnie po polsku (pamiętam słowa uznania moich Rodziców), z miłą córeczką Renatą (Natką) nieco ode mnie starszą. Pewnego dnia na tym statku usłyszeliśmy grany na fortepianie nasz hymn narodowy – pamiętam zszokowanych państwa Zygelmanów i minę mego Ojca. Okazało się, że to Mamusia weszła do jakiegoś pomieszczenia na górnym pokładzie i zobaczywszy fortepian nie umiała oprzeć się pokusie. *Nota bene* chyba tylko tyle Mama potrafiła zagrać – nie była muzykalna, ale tę melodię ćwiczyła jeszcze jako dziecko (w Uładówce – rosyjski zabór). To zdarzenie nie miało żadnych reperkusji, a zapamiętałam je tylko dlatego, że bardzo zaintrygowały mnie miny dorosłych.

Koniec lipca? – sierpień? Dojeżdżamy do Barnaułu i po następnych dniach koczowania (tym razem na dworcu) dostajemy zezwolenie na jazdę pociągiem, ale tylko do miasteczka Pospielicha, a nie do Semipałatyńska, o co Rodzice zabiegają. W Pospieliszce starania o dalszą podróż grzęzną w jakichś nieokreślonych przeszkodach. Rodzice wynajmują izbę (noce zaczynają być zimne) i dalej walczą o pozwolenie na kontynuowanie podróży. Taki stan zawieszenia i nerwowych starań w rozmaitych urzędach trwa dość długo. Wreszcie, chyba jeszcze w sierpniu, okazuje się, że dalsza podróż jest zabroniona. Dowiadujemy się, że Anders „zdradził” i wyprowadził wojsko. Nastrój władz staje się wrogi (nie pamiętam żadnych konkretów – to wspomnienie raczej atmosfery rozmów między Rodzicami). Rodzicom trudno znaleźć pracę. Po dłuższych staraniach obydwójga, Ojciec dostaje pracę jako „pisarz” w kołchozie Nowyj Mir – wyjeżdżamy koniem i furką przysłaną z kołchozu; jedziemy cały dzień (ok. 30 km).

1943 r.

Styczeń. Ojciec aresztowany za odmowę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego; siedzi nie w kołchozie, lecz gdzieś dalej, w jakiejś większej miejscowości (mającą mi nazwy Pospielicha?, Rupcowka?). Po kilku dniach wraca, bo ugiął się pod groźbą, że Mamę też aresztują, a nas wezmą do „Dietsadu” (przytułku). Mamie od razu zagrozili odebraniem dzieci i dlatego podpisała zgodę na zmianę obywatelstwa. Mieszkamy w jednej izbie, Marysia i ja nigdzie nie wychodzimy, jest mroźna zima (ponad -40°C). Dobrze pamiętam atmosferę rozmów Rodziców, nie słowa, lecz twarze i ton głosów - prawie rozpacz, że teraz już chyba nie ma nadziei na powrót; przekonanie o możliwości każdego bezprawia. Rodzice nawzajem przekonują się, że nie można było postąpić inaczej, nie można ryzykować utratę, a co za tym idzie rusyfikację i komunizację dzieci. Nam mówią żebyśmy nigdy nie zapomnieli, że jesteśmy Polkami.

Przydziały kołchozowej żywności są dość skąpe i bardzo mało urozmaicone, ale z początku jest wcale nieźle. Pamiętam, że przez całą zimę 1942/43 jadłyśmy dwa posiłki dziennie: około godz.12 zupę ugotowaną z kartofli, z dodatkiem klusek z żytniej mąki, trochę okraszoną baraniami skwarkami, a wieczorem ziemniaki z odtłuszczonym mlekiem (kołchozowy przydział). Gdy było trochę więcej mąki Mama piekła tzw. „pyszki”. Nie wiem czy nazwa była miejscowa, czy to myśmy tak je nazwały, bo były pyszne - wyrosnięte na chlebowym zakwasie, pieczone na blasze. Zakwas przechowywało się z dnia na dzień w postaci kawałka surowego ciasta posypanego mąką. Nie wolno było na raz zjeść więcej niż jedną pyszkę, może dlatego tak smakowały. Mama próbuje sprzedawać jakąś mało przydatną odzież za czosnek i cebulę, by nie dopuścić do szkorbutu. My – dzieci - nie cierpimy głodu, bo przez całe dni siedzimy na pryczy, okutane, w co się da – na podłodze woda zamarza. Dla pracujących i niewystarczająco odzianych Rodziców to jedzenie jest jednak zbyt skąpe – pamiętam, że obydwójce są bardzo chudzi. Kiedyś nieznajomy chłopina zagadnął moją Mamę *per* „nu, starucha”, a Ona (trochę zaskoczona) zapytała na ile lat ocenia jej wiek. Oświadczył, że przecież na pewno jest starsza od niego, a on ma już dobrze po 60-tce! Mama miała wtedy niepełne 45 lat (urodziła się w listopadzie 1898 r.).

Tylko raz była uczta – gdy wilki zakradły się do kołchozowej owczarni. Nie wiem ile naprawdę było wilczych ofiar, ale kołchoz najadł się mięsa, a Ojciec, jako kołchozowy „pisarz” sporządził sążnisty raport o losowych stratach. Pamiętam to dobrze, bo Mama pomagała Mu pisać – lepiej władała językiem. Dylematem była odpowiedzialność jakiegoś biedaka – nocnego stróża; trzeba było możliwie zredukować jego winę.

W miarę zbliżania się przednówka jest coraz głodniej. Mama krąży po okolicznych kołchozach z resztkami rzeczy, które jeszcze można sprzedać (m.in. udało się wymienić zabytkowy pierścionek z brylantem za kilka kilo mąki; kolczyków nikt nie chce kupić – są zbyt misterne).

Z tego czasu pamiętam dramatyczny powrót Mamy w momencie przedczesnych roztopów. Tym razem Mama pojechała w podróż dwudniową saniami chyba do Pospielichi (miasteczko rejonowe). W drodze powrotnej powinna była przeprawić się przez zamarzną rzekę Alej, a właściwie przez dwa ciek wodne, oddalone od siebie około 1 km, które w okresie roztopów

łączyły się tworząc jedno ogromne rozlewisko. Kołchoz Nowyj Mir leżał na wysokim urwistym brzegu Aleju. Pierwszą rzecz ką przejechała Mama bezpiecznie po lodzie, lecz gdy dojechała do Aleju zobaczyła, że lód na rzece pokryła woda; na drugim brzegu stali ludzie z naszego kołchozu i coś krzyczeli wymachując rękami. Mama zesła z sań i zaczęła zastanawiać się co dalej robić – nie bardzo jak i gdzie miała wracać. Nagle zauważyła, że koń zaczyna bardzo powoli wchodzić na ten zalany lód – szedł ze łbem opuszczonym, jakby węsząc wodę. Mama, modląc się w duchu, puściła zupełnie luzno lejce i przysiadła na saniach. I tak powoli, powoli – idąc nie całkiem po linii prostej, ale jakby łagodnymi niewielkim zakosami – koń przeszedł bezpiecznie na drugi brzeg. Ludzie na brzegu stali jak zamarli, bo wiedzieli, że lody ruszają. Wkrótce po tym rozległy się potężne huki, to lody Aleju pękały i piętrzyły się. Dla każdego, kto znalazł się na ich drodze nie było ratunku, bo Alej to górską rzeką, wartką i wiosną bardzo niebezpieczną, choć latem był tam bród, przez który nawet ja mogłam przejść (woda sięgała mi prawie po brodę).

Maj (22 – to data „wstąpienia” do wojska). Ojciec dostaje powołanie do wojska (jest obywatelem ZSRR!). Wydaje mi się, że dopiero po pewnym czasie dowiadujemy się o tym, że został wcielony do polskiej dywizji (tzw. kościuszkowskiej). Zostajemy z Mamą, bez środków do życia. Mama intensywnie szuka zatrudnienia, ale stara się o nie gdzieś dalej, bo w kołchozie ogólny głód. Poza tym, jak uradzili z Ojcem, chce się przenieść bliżej większej miejscowości, m.in., dlatego, że rozchodzą się wiadomości o porozumieniu Wasilewska – Stalin i pogłoski o obiecanej repatriacji. Lepiej zamieszkać gdzieś, gdzie jest więcej Polaków. Mama wszystko to omawia ze mną, trochę mi tłumaczy, a trochę naradza, bo teraz jestem jej powiernicą (Marysia ma tylko 5 lat). Całkiem dobrze rozumiem sytuację, ale popłakuję, gdy Mama znika na całe dni. To dla mnie i Marysi okres najbardziej dokuczliwego głodu – na przydział jest tylko niełuskane proso w ograniczonych ilościach; Mama nawet nie ma z czego rezygnować na naszą korzyść.

Lato (lipiec?). Mama znajduje pracę jako księgowa w cegielni. Wyjeżdżamy do „Kir-Zawodu” – to cegielnia wraz z gospodarstwem pomocniczym i osiedlem pracowniczym parę kilometrów od Pospelichi.

Wrzesień. Marysia zapisana do przykładowego przedszkola, a ja idę do rosyjskiej szkoły, do drugiej klasy (w tym czasie dzieci w ZSRR zaczynały naukę w wieku 8 lat). Czuję się w szkole bardzo dobrze, umiem czytać i pisać nie gorzej niż inne dzieci, ale nie wiem, kiedy się tego nauczyłam. Jeszcze przed wojną umiałam czytać (może raczej sylabizować) i pisać litery (to pamiętam, bo pisałam wiosną 1939 r. prośbę do Zmartwychwstanek w Warszawie o przyjęcie mnie do szkoły od września – prośbę zresztą odrzucono, bo nie miałabym skończonych 6 lat). Nie wiem natomiast skąd znałam alfabet rosyjski, sądzę, że Mama mi go pokazała.

Dopiero teraz, w Kir-Zawodzie mamy po raz pierwszy kontakt z rosyjskimi dziećmi. (Teraz dziwię się, że nie bawiłyśmy się z żadnym dzieckiem w kołchozie, nie wiem, dlaczego tak było). Wspominam te kontakty ze szkolnymi koleżankami bardzo dobrze, nawiązałam pierwsze w życiu przyjaźnie, zwłaszcza z jedną dziewczynką – Wierą. Były wrogie wystąpienia, ale raczej na zasadzie „chłopcy przeciw dziewczynkom”. Rzucali w nas kamieniami, a my bynajmniej nie byłyśmy dłużne. Śliczna, wielkooka Marysia, która

ze swoimi złotymi loczkami była podobna do aniołka, nie wiem czemu wywoływała agresję u 10-13 -letnich podrostków. Rosyjskie koleżanki pomagały mi jej bronić. Oczywiście w czasie tych potyczek wyzwisko „polaczka” lub mocniej: „proklataja polaczka” nieraz padało i oczywiście już nawzajem wyzywaliśmy się „jewrej” (żyd). Jakoś nigdy nie odbierałam tego w kategoriach prawdziwego antypolonizmu lub antysemityzmu, choć Mama surowo zabraniała wyzywać się od „jewrejów” (a także od „kacapów”).

Ze szkołą w Kir-Zawodzie łączy się jedno zupełnie niezrozumiałe dla mnie zdarzenie. Po 2 lub 3 miesiącach nauczycielka powiedziała mojej Mamie, żeby zabrała mnie ze szkoły, ponieważ dzieci mnie prześladują. Ja zupełnie się z tym nie zgadzałam, prosiłam z płaczem, żeby mi pozwolono nadal chodzić do szkoły – nauczycielka była dla mnie miła i dostawałam dobre stopnie, czułam się akceptowana przez dzieci, lubiłam uczyć się wierszyków (to były wiersze Puszkina, Lermontowa, sama klasyka, niektóre pamiętam do dziś). Nauczycielka jednak nalegała i Mama jej uwierzyła. Po jakimś ataku malarii już nie wróciłam do szkoły. Ta sama nauczycielka przynosiła mi zresztą do czytania w czasie choroby naprawdę dobre książeczki - dwie z nich jeszcze pamiętam. Dlaczego praktycznie wyrzuciła mnie ze szkoły? Przypadkiem wróciło to wspomnienie po latach już w Polsce i rozmawiałam o nim z Mamą – była zawsze przekonana, że nauczycielka mówiła prawdę, a ja tylko udawałam, żeby nie martwić Matki. Ja jednak wiem, że tak nie było – przecież dziecko nie może nie odczuć prześladowania! Co się naprawdę wydarzyło? Czy nauczycielka dostała „prikaz z góry”? Dlaczego chciała się mnie pozbyć, choć wyraźnie okazywała mi sympatię? Dla swojego, czy dla mojego dobra? Szkoda, że nie dowiem się tego. W chwili, gdy to piszę, przyszło mi do głowy, że być może opowiadałam koleżankom o Polsce?? Nic takiego jednak nie zapamiętałam.

W Kir-Zawodzie przeżyłam najbardziej spektakularne spotkanie z wszawicą. Walka z wszami zaczęła się zresztą jeszcze w kołchozie (wcześniejszych tego typu kłopotów nie pamiętam). Otóż przez jakiś czas mieszkaliśmy w izbie na zapleczu biura administracji kołchozu. W biurze odbywały się cotygodniowe (?) zebrania kołchoźników, w których ojciec, jako „pisarz”, musiał uczestniczyć z urzędu. Po każdym takim zebraniu ojciec wracał z mnóstwem wszy. Pamiętam, że raz nie wytrzymał i w trakcie zebrania wbiegł do naszej izby, zdjął onuce, podwinął nogawki spodni i zaczął zbierać wszy – naliczył ich ponad 30! To już wtedy, w Nowym Mirze, nauczyliśmy się dwa razy dziennie sprawdzać odzież. Wieczorem przed spaniem każdy szew w zdejmowanej odzieży trzeba było odgiąć i sprawdzić. To samo robiło się rano przed włożeniem każdej sztuki ubrania. Mama pilnowała, by na noc wkładać inną odzież (nocnych koszulek dawno już nie było). Tak już było do końca pobytu na Sybirze i stało się odruchem; pamiętam, jak Mama upomniwała mnie po powrocie do Kraju, że tego już nie trzeba robić.

W Kir-Zawodzie zaczęła się plaga wszy głowowych – ciągle się pojawiały, mimo że miałyśmy włosy obcięte króciutko – „na języka”. Całe osiedle, podobnie zresztą jak i miasteczko Pospielicha było zawszawione – normalnym zajęciem było iskanie. W letnie niedzielne dni odbywało się ono publicznie, na przyzbie (gliniana ława – raczej szeroki niski murek ciągnący się wzdłuż domu). Członkowie rodzin, a także sąsiadki, iskały się nawzajem. Osoba iskająca siedziała na przyzbie, a iskana u jej kolan, wprost na ziemi. Iskająca rozgar-

niała włosy nożem i na nim rozgniatała złapane wszy. Do tej wypróbowanej techniki Mama nie mogła się przemóc – nóż był narzędziem stosowanym do wszystkiego – od krojenia chleba do szorowania podłogi; tę ostatnią funkcję u nas zresztą też pełnił.

W pewnym okresie inwazja wszy głowowych stała się niezwykle silna, aż wreszcie Mama wpadła na pomysł by sprawdzić, co się dzieje we włosach Niny, naszej dziesięcioletniej współlokatorki. Nina zamieszkała ze swoją babką (Rosjanką – gospodynią lokalu) i z nami, gdy została całkiem sama w jakichś nieokreślonych okolicznościach. Była bardzo nieśmiała (zastraszona?), nie bała się z nami, a babka była dla niej niezbyt dobra. Dziecko nosiło na głowie chusteczkę, której nie zdejmowało z głowy przez okrągłą dobę. Nasza Mama z trudem nakłoniła ją, by pod nieobecność babki pozwoliła ją sobie zdjąć. Na widok kłębu włosów wymieszanych z krwią, ropą i wszami Mamie zrobiło się niedobrze (nie w przenośni!), a nas wygoniła na podwórko. Po obcięciu dziecku włosów, umyciu i oczyszczeniu głowy oraz upraniu chustki wszystko wróciło do stanu normalnego – tj. do normalnego poziomu walki z wszami. Była jakaś ostra rozmowa z babką Niny, ale to pamiętam bardzo mętnie.

1944 r.

Wczesna wiosna. Mama rzuca pracę w księgowości, ponieważ, jak mówi, w zakładzie jest mnóstwo rozmaitych nadużyć, a to grozi więzieniem – przede wszystkim księgowemu. Prezydent (prezes?) odpowiada w drugiej kolejności, a pierwszy sekretarz partii, czyli najwyższa władza, jest praktycznie bezkarny. Księgowa – Polka to zbyt oczywista ofiara dla takiej kliky. Są podobno wściekli, ale Mama absolutnie nie godzi się na sporządzenie następnego bilansu. Poszukiwanie zatrudnienia kończy się objęciem stanowiska kierownika manufaktury, w której robione są na drutach rękawice dla wojska, a potem, już latem, Mama zostaje nocnym stróżem w oborze przyzakładowej. Perypetie związane z tymi etatami opisałam w wywiadzie dla Marysi (mojej Wnuczki).

Lato. Chyba w tym czasie powstaje w Pospielisze Związek Patriotów Polskich i Mama zostaje wybrana „mężem zaufania”. Wyjeżdża w sprawach Związku do Barnaułu. Zapamiętałam to, bo dłuższa nieobecność Mamy to był duży stres. Zaczyna jednak być troszkę lżej – pojawia się jakaś pomoc materialna (pojedyncze sztuki odzieży, wydaje mi się, że z UNRR-y?), a Ojciec uzyskuje status najpierw podoficera, potem oficera (kończy wojnę jako porucznik) i do nas, jako rodziny wojskowego, zaczyna docierać dodatkowy przydział żywności. Choć nadal bywa dość głodno. Marysia, po przejściu choroby (chyba odry) jest tak osłabiona, że nie wstaje z łóżka; pamiętam jak leży bledziutka i śpi – w dzień i w nocy. Przerażona Mama pewnego dnia na rękach zanoszą ją do lekarza w Pospielisze; sama jest też wycieńczona i wraca półżywa. Pod koniec lata, przez krótki okres czasu Mama dorabia przy sporządzaniu finansowych sprawozdań w jakimś przedsiębiorstwie pracującym dla wojska i dostaje jako nielegalną zapłatę 2 duże kromki białego chleba. To rarytas. Musimy pilnować Marysi, żeby nikt z sąsiadów nie zobaczył tego chleba, co jest niełatwe przy ruchliwym z natury dziecku, które nie rozumie, o co chodzi. Jednak po paru takich ucztach o mało co nie dochodzi do wpadki. Mamę, wychodzącą z chlebem w teczce, zaczepia jakaś władza; na szczęście teczka robi wrażenie

pustej – to tylko dwie kromki. Mama – coś tam odpowiadając – instynktownie macha swobodnie rękami by podkreślić, że teczka jest lekka, a ona nic nie ma w kieszeniach trencza. Udaje się. Mama wraca jeszcze przerażona i tłumaczy, że za taką „zbrodnię” grozi kilka lat więzienia. Koniec z białym chlebem, ale doskonale rozumiem, że cudem uniknęliśmy straszego nieszczęścia.

To w tym okresie zaszło wydarzenie, które Mama kazała mi zapamiętać na całe życie. Pewnego dnia zabrakło zupełnie żywności, bo „pajok” (przydział) nie dotarł na czas. Mieszkająca z nami Polka z 6-letnim synkiem Waldkiem sama ledwie była w stanie wyżywić chorowite dziecko. Mama poszła do Pospielichi prosić lepiej sytuowaną polską rodzinę o jakąś pożyczkę. Kiedy zaczęła opowiadać w jakiej znalazłyśmy się sytuacji, gospodyni – gotując wcale obfity posiłek – natychmiast wylała potok narzekań na ciężkie życie i braki w zaopatrzeniu. Mamie (jak opowiadała) prośba o pożyczkę stanęła w gardle. Ale w domu naprawdę nie było nic do jedzenia i nic nie udało się wymienić na żywność. Zaszła jednak do naszej sąsiadki – Rosjanki. Ta, po wysłuchaniu Mamy, natychmiast wyciągnęła glinianą miskę z mąką, odsypała połowę i powiedziała: „nic nie kupię, ale masz tu mąki – tylko słuchaj Francewna (to tzw. „otczestwo” – córka Franciszka) – musisz mi zwrócić najdalej pojutrze, bo to wszystko, co mam, a przecież wiesz, że też mam dzieci”.

Nie pamiętam jak się ta sąsiadka nazywała, ale całe zdarzenie zapamiętałam i kilka razy starałam się o nim opowiedzieć. Nie wiem tylko czy ktoś, kto nie zna głodu – tzn. prawdziwego głodu, z niepewnością jutra, a nie tylko zaostrenia apetytu – zdoła docenić czyn tej kobiety.

A całkiem inną przygodę „spożywczą” przeżyła matka chorego Waldusia. Nie wiem, jakim cudem zdobyła kurę. Kłopot polegał na tym, że kura była żywa, najbliższe sąsiadki miały opory przed dokonaniem egzekucji, a mama Waldka nie chciała się tą kurą zbyt szeroko afiszować. Sytuacja była patowa chyba przez dwie godziny. Nagle właścicielka kury zjawiała się w izbie, tryumfalnie niosąc pozbawiony głowy *corpus delicti*. Pamiętam okrzyk naszej Mamy: „jak Pani to zrobiła?!”, a ona: „po prostu wzięłam siekiere, położyłam kurę na pieńku, zamknęłam oczy i pomyślałam, że to ...” – tu padło nazwisko sekretarza partii w Kir-Zawodzie. Mama wyraziła pełne zrozumienie.

Wczesna jesień. Przeprowadzamy się do Pospielichi, w której ma powstać polska szkoła. Mama nareszcie dostaje jakąś mało odpowiedzialną pracę w biurze, ale nie w samym miasteczku – codziennie idzie do pracy parę kilometrów, więc jeszcze mniej czasu ma dla nas. Szkoła powstaje (nie wiem, kiedy dokładnie), ale my z początku nie mamy butów, więc w zimie, jak prawie, co roku, nie wychodzimy z domu. O ile dobrze pamiętam, tylko w Kir-Zawodzie wychodziłam w zimie na dwór w jakichś starych walonkach, ale te się chyba po prostu rozleciały.

1945 r.

Jeszcze w zimie (a może wczesną wiosną?) przenosimy się do innego mieszkania, by zamieszkać wspólnie z p. Janiną Zielińską i jej córką, 17-letnią Halinką, oraz p. Marią Michalską z synami: Michaś jest troszkę starszy ode mnie, a Jurek nieco młodszy (między chłopcami jest tylko rok różnicy). Na każdą rodzinę przypada odrębna prycza. P. Maria pracuje i prowadzi odrębne gospodarstwo (bardzo głodne), natomiast Mama z p. Zielińską tworzą spół-

kę, co zostało ukartowane jeszcze zanim p. Zielińskiego wraz z synem zabrano do wojska. Mama pracuje, natomiast chorowita i niezaradna p. Janina opiekuje się dziećmi. Nie wiem, czemu Mama boi się nas zostawiać samych na całe dni i uważa, że w miasteczku nie jesteśmy całkiem bezpieczni. Halinka ma jakieś kłopoty z pracą – zbyt mętnie to sobie przypominam – wiem tylko, że próbowano ją „wrobić” w jakieś nadużycia. Po pewnym czasie został zwolniony z wojska mąż p. Janiny (ze względu na stan zdrowia) i Halinka ustąpiła swemu ojcu miejsca na pryczy. Sama przeniosła się na spanie na podłogę, przezornie umieszczając głowę pod stolikiem, by jej ktoś w nocy nie nadepnął.

P. Zieliński został zatrudniony w jakimś odzieżowym magazynie wojskowym i zaczął przynosić do domu stare wojskowe ubrania oraz swetry. Swetry były przez nas prute i na drutach przerabiane na „nowe” (roilo się w nich od węzełków). Jedno z ubrań było natomiast przeznaczone na łąty naszywane na pozostałe spodnie i bluzy. Byłam dumna ze swego udziału w tym procederze – oczywiście nielegalnym od początku do końca. Efekty przeróbek były sprzedawane w niedzielę na targu przez p. Zielińskiego i Mamę. Pamiętam jak Mama opowiadała o takiej scenie: kupujący wyraził opinię, że spodnie nie warte są wymaganej ceny, bo są stare i podarte, a Mama z oburzeniem i swadą stwierdziła, że jak się naszyje takie wspaniałe, mocne „akoszczka” (czyli „okienka” = łąty) to spodnie można uznać za nowe! No i kupił.

Zaczynamy uczęszczać do polskiej szkoły. Szkoła mieści się w jednej dużej izbie i chodzą do niej wszyscy polscy niepełnoletni – od lat 8 do 18. Jest nas około dwadzieścioro – dzieci uczące się czytać i kilkunastoletnie dryblasy, zresztą też bynajmniej nie biegłe w tej sztuce. Mamy tablicę i polską książkę (a może było kilka egzemplarzy?) do nauki czytania – nie pamiętam tego zupełnie, natomiast matematyki uczymy się z rosyjskich podręczników. Piszemy, jak we wszystkich szkołach (również rosyjskich), na zeszytach robionych własnoręcznie z gazet. Wydaje mi się, że w szkole jest jakieś dożywianie (mleko?, zupa?) z UNRR-y. Lekcje prowadzi tylko jedna nauczycielka, w średnim wieku. Nie bardzo pamiętam jak wyglądała, poza tym, że jak się śmiała to było widać tylko 2 wielkie, chwiejące się zęby (pewnie efekt skorbutu). Miewała czasem 1-2-dniowe nieobecności z powodu choroby i wtedy jej dwoje bardzo mizernych, białych dzieci – moja rówieśnica Bogusia, którą bardzo lubiłam i młodszy chłopiec, często u nas przesiadywali. Dopiero w Polsce, gdy byłam już całkiem dorosła, dowiedziałam się od Mamy, że „nasza pani” była alkoholiczką. W chwili, gdy to piszę, z pewnym zdumieniem uświadomiłam sobie, że w tej szkole wcale sporo się nauczyłam – jak np. podstaw polskiej gramatyki i rozwiązywania matematycznych zadań tekstowych, których mnóstwo przerabialiśmy. Przygotowywaliśmy też akademie i przedstawienia, ale to muszę osobno opisać. Tu znowu spotkałam się z Natką Zygelman, która na tle naszej grupy wyróżniała się zdolnościami – śpiewała i tańczyła o niebo lepiej niż którekolwiek inne dziecko. Podobno to ona, po powrocie, została piosenkarką i występowała pod pseudonimem Natasza Zylska?

Naprawdę nieoceniony jednak był – jak to teraz widzę – zasób wiedzy przekazywany nam przez Rodziców, głównie przez Mamę. Najlepiej pamiętam Jej opowiadania o ulubionych książkach. Wróciłam do Polski znając imiona i nazwiska najważniejszych polskich poetów i pisarzy, tytuły oraz – z grubsza – treść najważniejszych dzieł. Wiedziałam co to jest i o czym *Trylogia*, *Quo vadis*,

Dziady, poznałam przynajmniej część zwrotek *Smutno mi Boże, Ody do młodości*, jakieś urywki wierszy Asnyka, itd., a także kim jest *Ania z Zielonego Wzgórza*, *Księżę i żebrak*, *Tajemniczy opiekun* i wiele innych. Pamiętam jak Mama opowiadała nam to wszystko wieczorami (czasami by nam zatkać głodne dzioby), a po pewnym czasie ze zmęczenia usypiała i przechodziła na słowne biurowe utarczki, oczywiście w języku rosyjskim. Pękałyśmy ze śmiechu i bezlitośnie budziłyśmy Mamę z żądaniem: „i co było dalej?”

Dość szybko Ojciec zaczął nam przysyłać z wojska wydawane dla I Dywizji Kościuszkowskiej pozycje z polskiej klasyki, oczywiście te o niedoli ludu oraz antyniemieckie. Do dziś mam Sienkiewicza *Opowiadania* (Biblioteczka Związku Patriotów Polskich w ZSRR, Moskwa 1943), a potem pamiętam, że był Mickiewicz: *Konrad Wallenrod* i *Grażyna*. Po zimie przesiedzianej na pryczy umiałam na pamięć całe ustępy Konrada Wallenroda, choć treść poematu pozostawała dla mnie dość tajemnicza. Marysia nauczyła się na Wallenrodzie czytać w ciągu tej zimy, jeszcze zanim poszła do szkoły; w poemacie było więcej dużych liter niż w prozie (początek każdego wersu) – tak się zaczęła ta nauka czytania.

W Pospielisze także wpadła mi do rąk (nie wiem skąd pożyczona, czy подарowana) książeczka do nabożeństwa dla dzieci idących do I Komunii św. Znalazłam w niej fascynujące treści. Po powrocie do Polski „z marszu” zdałam odpowiedni egzamin z katechizmu i zostałam dopuszczona do pierwszej spowiedzi i Komunii.

A tak w ogóle: ani razu w życiu nie udało mi się chodzić pełny rok szkolny do którejkolwiek klasy szkoły podstawowej. Mam za sobą kilka miesięcy II klasy rosyjskiej szkoły (1943 r.) oraz po kilka miesięcy klasy III i IV szkoły polskiej na Sybirze w latach 1944-46. W marcu 1946 r. wracaliśmy do Polski, a po powrocie przez maj i czerwiec chodziłam – na prośbę Rodziców – do klasy V u Sióstr Zmartwychwstańek na Żoliborzu. Dobre siostrzyczki uznały, że skoro czytam, piszę, liczę i orientuję się w historii Polski, to z resztą sobie poradzę i jakoś nadrobię stracone lata edukacji. I tak dostałam promocję do VI klasy. (Marysia poszła w Warszawie od razu do II klasy – właściwej swemu wiekowi). Ostatni rok opóźnienia nadrobiłam już w Lasowicach Małych dzięki długotrwałej chorobie – Rodzice uznali, że skoro uczyć się w domu (przy pewnej pomocy nauczyciela, za którą to pomoc otrzymywał drewno na opał) i na końcu roku szkolnego będę zdawała całość materiału, to mogę to zrobić w nieco szerszym zakresie. „Egzamin” z klas VI i VII w czerwcu 1947 r. wypadł pozytywnie; biorę to słowo w cudzysłów, bo atmosfera była mało oficjalna, a egzamin odbywał się w mieszkaniu Pani kierowniczkii szkoły. Moja Mama była obecna przy egzaminie i kiedy usłyszała, że niepewnie zaliczam jaszczurkę do kręgowców, z miejsca odruchowo zapytała „a wąż?”, na co ja już bez cienia wahania oświadczyłam, że wąż kręgowcem nie jest. Ale jesienią poszłam do gimnazjum w Kluczborku. Byłam jedną z najmłodszych – wiek uczniów w mojej klasie I wahał się od 15 do 21 lat, a moje braki wiedzy nie były bynajmniej rażące ani wyjątkowe.

Maj. Wojna skończona, ale w naszej sytuacji niewiele się zmienia, tylko przydziały żywności są większe (ojciec awansuje na porucznika). I coraz częściej słychać o powrocie. Wieczorami, gdy my, dzieci, już usypiamy, wpadają do nas Polki, by zasięgnąć wieści (Mama jest „mężem zaufania”. No i czyta gazety). Jeszcze dziś słyszę pełne nadziei pytania „to, co pani Alino, JADZIEM?!?”.

W tym czasie zmienia się natomiast zupełnie wygląd bazaru w Pospielisze, który teraz kipi życiem w każdą niedzielę. Stragany (długie ławy z desek) są zarzucone mnóstwem rzeczy przysyłanych rodzinom przez krasnoarmiejców z Niemiec. Tłumy się kłębią. Marysia i ja też wypatrujemy oczy oglądając cudowne dziecinne sukienki i pantofelki (do dziś niektóre pamiętam), kolorowe zasłony i rozmaite niewidziane nigdy (lub zapomniane) przedmioty. Krążą plotki o pokrwawionych ubraniach, jakoby przysyłanych wprost z zamordowanych Niemców. Nigdy takich rzeczy na własne oczy nie widziałam. Pamiętam natomiast jak przyszła do nas sąsiadka z pomarańczą i nieśmiało zapytała, co z tym zrobić, bo to takie gorzkie. Nie przyszło jej do głowy by obrać. I pamiętam, że Mama zabroniła mi kpić z tego, bo przecież to owoc, który na Sybirze nie rośnie i taka niewiedza jest niezawiniona.

Zimą tego roku z początku na zmianę chodziłam do szkoły z Marysią, bo były tylko jedne walonki. W tym czasie byłyśmy jednego wzrostu, mimo że ja miałam 12, a Marysia 8 lat; Rosjanki dziwiły się, że te bliźniaczki są takie różne – jedna bielutka (bielieńkaja), a druga czarniutka (czernieńkaja)?”. A ja tanim kosztem uchodziłam za tę bardzo mądrą.

Potem już obydwie miałyśmy to wspaniałe sybirskie obuwie. Pamiętam jednak, że na drogę do szkoły byłam opatulana z wierzchu jakimś pledem (Marysia też), bo nie miałyśmy odpowiedniej na mrozy odzieży – wstydziłam się tego i awanturowałam twierdząc, że wcale nie jest mi zimno. Pamiętam groźne ultimatum Mamy: „albo to włożysz, albo zostajesz w domu!”. To była straszna kara i oczywiście pozwalałam się obwiązywać „tą szmatą”. Przypomina mi się to zawsze, kiedy moje Wnuki tak pomysłowo usiłują uniknąć pójścia szkoły.

1946 r.

Marzec. Wracamy do Polski. Ładujemy się (około 15 marca) do wagonów tzw. „bydlęcych” i podobnie przystosowanych do podróży jak, w 1940 r., ale chyba mniej zatłoczonych i w jakże innej atmosferze. Mama jako „mąż zaufania” zdenerwowana i zabiegana do ostateczności. Część rodzin z dalszych kołchozów (wydaje mi się, że z odległości około 100 km, bo jechali kilka dni) nie dociera w wyznaczonym terminie na dworzec w Pospielisze. Mama stara się opóźnić odjazd i usiłuje poprzez władze i bezpośrednie telefony (oczywiście służbowe – innych nie ma) zdobyć o nich jakieś informacje. Ewidentnie niektóre lokalne władze szykanują Polaków – nie zawiadamiają w porę, nie dają środków transportu itp. Wreszcie część ludzi dojeżdża, chyba na trzeci dzień po wyznaczonym terminie. Na końcu zjawia się rodzina z noworodkiem. Jazda traktorem przyspieszyła poród – stąd opóźnienie; maleństwo urodziło się w pustym stepie, bez żadnej fachowej pomocy. Słyszałam później, że dziecko (chyba chłopczyk) dojechało żywe do Polski.

Dla mojej Mamy cała radość wyjazdu została jednak w końcu zmacona bardzo przykrym zdarzeniem, które było dla Niej prawdziwym cierpieniem do końca życia. Tuż przed terminem wyjazdu, w jednej z polskich rodzin mieszkających w Pospielisze, zachorowała dorosła córka. Matka dziewczyny wzywa miejscowego (rejonowego) lekarza, a ten stwierdza odrę. Choroba jest zakaźna i władze sanitarne odmawiają zgody na wyjazd. Lekarz tłumaczy zresztą, że wyjazd w takich warunkach zagraża życiu pacjentki. Matka dziewczyny jest zrozpaczona i gwałtownie usiłuje jednak dostać się do pociągu. Jest głucha

na tłumaczenia, że o wypadku powiadomiono polskie władze repatriacyjne, że z tego rejonu jeszcze nie wszyscy Polacy są ewakuowani i że planowany jest jeszcze jeden eszalon. Wieczorem przychodzi do nas i błaga moją Mamę o pomoc w przemyczeniu dziewczyny do wagonu. Mama jednak uważa, że w tych warunkach jest to niemożliwe i nierozumne. Tłumaczy, że w razie wykrycia takiego wykroczenia władze wysadzą je na pierwszej lepszej stacji, a wtedy mogą się znaleźć poza ewidencją repatriacyjną. Odmawia pomocy. Kobieta wychodzi przeklinając nas i życząc byśmy nie dojechały żywe do Polski. Bardzo było mi żal mojej Matki, ale i o tej naszej rodaczce myślę ze ściśniętym sercem – co ona przeżyła jak pociąg odjeżdżał. Mam nadzieję, że wróciła do Polski.

Marzec 21 (?). Wyruszamy z parodniowym opóźnieniem. W czasie postojów Mama wysiada (chyba w Alejsku, a potem jeszcze w jakimś dużym mieście) by jeszcze raz, tym razem osobiście upewnić się, że władze repatriacyjne mają spis polskich rodzin, które pozostały jeszcze w rejonie Pospielichi. Pamiętam te wyjścia doskonale, bo umierałam ze strachu, że Mama nie zdąży wrócić i pociąg odjedzie z nami bez Niej. Z samej podróży przez Rosję niewiele pamiętam. Śpiew – czasami ludzie śpiewali pieśni religijne i patriotyczne; niekiedy próbowali razem – umawiali się, że cały pociąg będzie śpiewał to samo. Ale to było rzadko. Może zresztą było różnie w różnych wagonach. Pamiętam też wysiadanie w szczerym polu podczas postojów i załatwianie się na poboczach, co było krępujące. Co bardziej wstydliwi włązili pod pociąg; kiedyś pociąg ruszył bez zwyczajowego gwizdu ostrzegawczego i podniósł się przerażający wrzask. Pociąg stanął i nic się nikomu nie stało. To chyba jednak z tego czasu pochodzi nawiedzający mnie przez całe życie koszmar: usiłuję wsiąść do pociągu i nie mogę, bo jest za wysoko... Rzeczywiście Mama podsadzała nas do wagonu.

Pamiętam jeszcze jeden drobiazg. Gdzieś chyba w okolicach Uralu patrzyłam przez okienko wagonu na dalekie zalesione wzgórza. Chciało się je głaskać – pomyślałam, że wyglądają jakby okryte szubą. SZUBĄ? To przecież po rosyjsku, szuba, szuba, jak jest po polsku „szuba”? Po dłuższej chwili zapytałam Mamę. Odpowiedziała tylko: „nie wiesz? to futro”, ale była tak zdziwiona i zgorzonna, że się skręciłam ze wstydu. Przeżycie było tak silne, że pamiętam je po tylu latach. Mama włożyła mnóstwo trudu by zapobiec naszej rusyfikacji – wróciłyśmy mówiąc swobodnie i poprawnie po polsku, a nie w każdej rodzinie tak było. Pamiętam jedną z Polek wołającą do dziecka: „zbiegaj dietka, zbiegaj, przynieś mi wirówkę” (ros. „wirowka” znaczy sznurek).

Kwiecień. Przejeżdżamy przez dawne polskie Kresy. Pamiętam nastrój w wagonie – cichy żal, że to już nie nasze, nie polskie; ale o tym ludzie mówią szeptem, do zaufanych znajomych. A potem, na jakiejś stacji, to okropne spotkanie z eszalonym jadącym na wschód; pociąg z wagonami zaplombowanymi i zakratowanymi okienkami, przez które ludzie krzyczeli po polsku, że ich wywożą na Sybir, że nie mają picia, są głodni. Z naszego pociągu ludzie wyskakują, chcą coś podać, ale natychmiast uzbrojona straż zagania naszych z powrotem i nasz pociąg rusza; jedzie tylko gdzieś poza stację i tam dalej stoimy czekając na wolną drogę – nie wolno wysiadać. To był kwiecień 1946 r. Lekcja nowej Polski.

Przekraczamy nową granicę Polski – chyba w Medyce? Potem pociąg zatrzymuje się w polu. Wszyscy dorośli płaczą. Ludzie wysiadają z wagonów i całują ziemię. Na drugi dzień dowiadujemy się, że zmarła p. Maria Kamińska

(?), która podobno jeszcze przed wojną była chora na serce, jednak wszystko przeżyła – wszystko prócz powrotu. Jej dwóch nieletnich synów zostało ze starą babcią.

Dojeżdżamy do Pyskowic. To stacja końcowa skąd ludzie mają się rozjechać do wybranych przez siebie miejscowości. Ale na razie jest późne popołudnie. Z bocznych torów gdzie stoi nasz pociąg widać wieżę kościoła. Nie pamiętam jak to się stało, ale wkrótce jesteśmy wraz z całym tłumem Sybiraków koło kościoła. Zjawia się proboszcz, otwiera kościół i zaczyna się improwizowane nabożeństwo (msze wówczas odprawiano tylko rano). Cały kościół szlocha, a proboszczowi też głos się łamie.

21 kwietnia dojeżdżamy pociągiem osobowym do Warszawy, gdzie czeka na nas Ojciec.